

**WŁADYSŁAW  
STANISŁAW  
REYMONT**

ZIEMIA OBIECANA, TOM  
DRUGI

Władysław Stanisław Reymont

**Ziemia obiecana, tom drugi**

«Public Domain»

**Reymont W.**

Ziemia obiecana, tom drugi / W. Reymont — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

## Содержание

I	5
II	29
III	40
Конец ознакомительного фрагмента.	47

# Władysław Stanisław Reymont

## Ziemia obiecana, tom drugi

### I

– A teraz go w grzbiet, a teraz z drugiej strony, a teraz w głowę. Ot i jeszcze raz, i jeszcze jeden razik, dobrodzieju mój kochany.

– Walisz ksiądz kartami jak cepem – szepnął z goryczą stary Borowiecki.

– To mi przypomina jedno zajście. Było to u Migurskich w Sieradzkim...

– Cepem nie cepem – przerwał ksiądz, przymrużając z lubością oczy – a ślicznymi atucikami, dobrodzieju mój kochany. Chowam ja jeszcze damusie, żeby grzmotnąć twojego królika, Zajączkowski.

– To się pokaże! Ale ksiądz ma paskudny zwyczaj przerywania; ust otworzyć nie można, bo ksiądz zaraz przerywasz. Oto, jak rzekłem, u Migurskich...

– U Migurskich, czy nie u Migurskich, ale to już słyszeliśmy, dobrodzieju mój kochany, ze sto razy, nie prawda, panie Adamie? – zwrócił się do starego.

– E, co mi tu ksiądz będziesz uwagi ciągle robił. A, jak Pana Boga Kocham, czego za wiele, tego i zanadto. Myślałbyś ksiądz lepiej o nabożeństwie, a nie o tym, czy kto co mówił lub nie mówił.

Rzucił karty na stół i porwał się zirytowany.

– Tomek, huncwocie jeden, a zakładaj konia – huknął potężnym basem przez okno na podwórze.

Szarpał mocno wyczernione wąsy i sapał zapalczywie.

– No widzicie go! Smyk jeden, ja mu po ludzku zwracam uwagę, a ten zaraz na mnie, jak na swojego parobka: huru buru! Jasiiek, bo mi fajeczka zgasła.

– No, sąsiedzie, bo pan Baum rozdaje karty.

– Nie będę grał, jadę do domu. Już mam dosyć jegomościnych kazań. Wczoraj u Zawadzkich opowiadam o koniunkturach politycznych, a ksiądz mi zaprzecza publicznie i wydrwiwa – burczał szlachcic, przemierzając wielkimi krokami pokój.

– A boś jegomość, dobrodzieju mój kochany, gadał rzetelne głupstwa. Jasiiek, a ty smyku jeden, daj no ogieńka, bo mi fajeczka zgasła.

– Ja gadałem głupstwa! – wykrzyknął Zajączkowski, przyskakując z pasją do księdza.

– A głupstwa – odszepnął ksiądz, pykając z długiej fajki, którą mu mały chłopak zapalał, przyklękawszy na podłodze.

– A, Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami – zawołał ze zgrozą Zajączkowski, rozkrzyżowując ręce.

– Ksiądz dobrodziej jest na rękę – rzekł Maks Baum, podsuwając mu karty.

– Siedem pik – zawołał ksiądz. – Zajączkowski, jesteś na rękę.

– Idę na ciemno – zawołał szlachcic i siadł spieszenie do stolika, ale nie zapomniał jeszcze urazy do księdza, bo rozejrzawszy się w kartach, mówić zaczął:

– I jak tu może być co, jak tu ogół może mieć jasne pojęcie o polityce, kiedy jego naturalni przewodnicy są tak ciemni.

– Osiem trefli, bez atu – licytował ksiądz.

– Przejdę się. Dobrze, zaraz ksiądz zobaczysz co będzie za gra. Bo jak ksiądz nie masz żołądździ, to księdza mocno zaswędzi.

– Zaswędzi nie zaswędzi, ale jak ci pan Baum wyciągnie te żołędziki, jak cię asikiem wytnie, to kichniesz. A co, syneczku, a co, a nie chwal się, a nie mów amen przed *in saecula saeculorum*<sup>1</sup>, dobrodzieju mój kochany, ha, ha, ha! – śmiał się na całe gardło z miny Zajączkowskiego i tak był rad, że trzepał cybuchem po sutannie i poklepywał Maksa obok siedzącego. – Górą miasteczko Łódź, górą fabrykankiki. A niechże ci, dobrodzieju mój kochany, Pan Bóg bliźniateczki da za to, żeś tak zajączka oporządził. Poleżysz bez nóżki, poleżysz. Jasiek, a daj no, smyku, ogieńka, bo mi fajeczka zgasła.

– Ksiądz jak poganin jaki, tak się z cudzych nieszczęść cieszysz.

– Już tam temu daj spokój, a co leżysz, to leżysz. Cały rok nas obłupiał ze skóry, to niechże teraz grosiki zapłaci.

– Po dwadzieścia groszy na tydzień wygrywałem. Po dwadzieścia groszy, słowo honoru panu daję! – szepnął Zajączkowski przez stół do Maksa.

– „Poszły panny na rydze! na rydze! na rydze!” – zaczął nucić stary Borowiecki, przytupając<sup>2</sup> do taktu w stopień fotelu, na którym siedział i jeździł, bo był w połowie sparaliżowany.

Cisza na chwilę zapanowała w pokoju.

Cztery świece stojące po rogach stolika jasno oświetlały zielone pole walki i twarze walczących.

Zajączkowski milczał, był zły na księdza, z którym od lat dwudziestu kłócił się przynajmniej dwa razy na tydzień.

Muskał wyczernione wąsy i rzucał groźne spojrzenia spod ogromnych krzaczastych brwi na Maksa, który go „kładał bez trzech”, a czasami trzaskał się ze złością w łysinę, po której muchy spacerowały.

Ksiądz wychudłą, ascetyczną i dobrotliwą twarz pochylał nad stołem, czasem pykał z fajki i okrywał się dymem, a wtedy zapuszczał ostre spojrzenie czarnych, bardzo żywych oczów w karty przeciwnika, z czego zresztą nigdy nie korzystał.

Maks ze skupioną twarzą grał bardzo uważnie, bo przeciwnicy byli mistrzami w preferansie, i w przerwach leciał oczami po oknach, którymi księżyc zaglądał i do dalszych pokoi, skąd go dochodziły głosy Anki i Karola.

Pan Adam zaś ciągle nucił, wybijał takt, szarpał bujną, choć przeredzoną czuprynę i przy każdej nowej grze wołał:

– Śliczny kolor, długi kolor. Dam ja wam teraz basałyki. Król z damą, a dwór za nią. Zaczniemy bić do ataku.

„Hej mazury, bijcież z góry, a kosami, osekami” ta ra ra ta, ta! Szluszuj z prawego! – komenderował energicznie i z rozplómienną twarzą, ruchem jakby się rzucał do ataku, bił kartami w stół.

– A to byś jegomość grał po ludzku. A te twoje przyśpiewki to tylko rozpusta żołnierska i nic więcej dobrodzieju mój kochany. Jasiek, a daj no ogieńka, bo mi fajeczka zgasła.

– To szluszuj, przypomina mi bardzo ciekawe zajście, jakie miało miejsce...

– U Migurskich w Sieradzkim, słyszeliśmy już i to, słyszeli, dobrodzieju mój kochany.

Zajączkowski spojrzał groźnie na uśmiechniętą twarz księdza, ale nie rzekł nic, tylko odwrócił się do niego bokiem i grał dalej.

Maks raz jeszcze rozdał karty i po licytacji poszedł do Karola.

– Jasiek, a otwórz no okienko, bo tam ptaszeczki boże tak śpiewają.

Chłopak otworzył okno na ogród i pokój zalały chóry słowicznych głosów i fale zapachów bzów kwitnących pod oknami.

W pokoju, do którego poszedł Maks, nie było lamp, natomiast świecił księżyc sunący po tafli ciemnego szafiru niebios.

Okna były otwarte i wpływał nimi czerwony, rozśpiewany wieczór.

---

<sup>1</sup> *in saecula saeculorum* (łac.) – na wieki wieków. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *przytupajac* – dziś: przytupując. [przypis edytorski]

Siedzieli w milczeniu.

– Ładna kolekcja mamutów – szepnął Karol do Maksa, bo w pokoju gry znowu wybuchła burza i Zajączkowski krzyczał przez okno, żeby mu konie zakładali natychmiast, a pan Adam śpiewał na całe gardło:

– „A choć chłodno i głodno, żyje sobie swobodno!”

– Często grywają ze sobą?

– Co tydzień i przynajmniej dwa razy na tydzień się kłócą i rozjeżdżają bez pożegnania, co im zresztą wcale nie przeszkadza żyć w wielkiej przyjaźni.

– Pani ich godzić musi nieraz?

– O nie, bo raz spróbowałam, a ksiądz zaperzony krzyknął na mnie: „Niech jegomościanka pilnuje udojów!” Zresztą, oni nie mogliby żyć bez siebie, a będąc ze sobą, nie mogliby się nie kłócić.

– Ale co twój ojciec w Łodzi pocnie bez nich? – zwrócił się Maks do Karola.

– A bo ja wiem, również w ogóle nie wiem, po co ojcu chce się Łodzi?

– Pan nie wie?... – szepnęła Anka zdziwionym głosem i byłaby coś mówiła więcej, ale dzwonek zadzwieczał u furtki.

Wyszła i powróciła z depesą dla Karola.

Karol apatycznie wziął, ale nie doczytał do końca, tylko zmiął ze złością i schował do kieszeni.

– Może zła wiadomość? – zapytała trwożnie Anka, stojąc przed nim.

– Nie, tylko głupia!

Machnął ręką, zniecierpliwiony jej współczującym spojrzeniem i ciekawością.

Poszedł do pokoju grających i czytał po raz drugi.

Depesza była od Lucy.

– Bardzo się pan nudzi u nas?

– Ani słowa nie odpowiem na podobną insynuację. Wie pani, jestem zdumiony życiem państwa. Nie przypuszczałem, żeby mogło gdzieś istnieć życie dziwnie spokojne, dziwnie proste i takie jakies wyższe. Dopiero u państwa poznałem, że ja nie znałem Polaków, dopiero teraz rozumiem wiele właściwości Karola. Szkoda, że się państwo wyprowadzają do Łodzi.

– Dlaczego?

– Bo nie będę mógł już tutaj nigdy przyjechać.

– A w Łodzi pan nie zechce nas odwiedzać? – zapytała ciszej i nie wiedziała, dlaczego serce jej zabiło silniej jakby obawą, że może on nie zechce.

– Dziękuję pani bardzo, uważam to już za zaproszenie, można?

– A można, ale za to pozna mnie pan ze swoją matką.

– Kiedy pani tylko rozkaże.

– Zostawię pana samego, bo muszę pomagać do podania kolacji.

Pobiegła do drugiego pokoju, w którym Jagusia już nakrywała.

Maks spacerował wzdłuż pokoju, ale dlatego, żeby przechodząc koło drzwi otwartych spojrzeć na Ankę.

Patrzył z podziwem na jej wysmukłą, doskonale uformowaną figurę, gdy się pochylała nad stołem; na jej twarz o niezbyt regularnych rysach, ale pełną dziwnego wdzięku i ciepła, zakończoną szerokim czołem, o gładko rozczesanych pośrodku włosach kasztanowatych.

Szaro błękitnawe oczy patrzyły spod zupełnie czarnych brwi jasno, spokojnie, ale z pewną surowością.

Maks przypatrywał się jej z wielkim zajęciem i tak mu się bardzo podobała, że poczuł prawie niechęć do Karola, gdy tamten przyszedł.

– Jutro wieczorem jechać do Łodzi muszę – powiedział szorstko.

– Po co ci tak pilno. Trzy święta mają robotnicy to i my użyjmy odpowiednio Zielonych Świątek.

– Jeśli czujesz się tutaj dobrze – zostań, ale ja muszę wyjechać.

– Pojedziemy razem – mruknął Maks, siadając na parapecie okna.

Było mu tutaj tak dobrze, że się zdumiewał nad sobą, a ten chce go stąd zabierać.

Patrzył z gniewem i żalem na Karola.

– Mam bardzo pilne interesa<sup>3</sup> i mam dosyć wsi, za wiele nawet – mówił i chodził wzburzony, zaglądał do pokoju grających, zamieniał po kilka obojętnych słów z Anką, ale rozdenerwowania<sup>4</sup> i niepokoju, który był nudą zarazem, stłumić nie umiał.

A do tego przybył jeszcze ten telegram Lucy, o której myślał z trwogą, bo mu zapowiadała w najbardziej stanowczych słowach, że jeśli się we wtorek nie pokaże, to ona potrafi go znaleźć i u narzeczonej, niechaj się co chce stanie potem.

Wiedział, że Lucy dotrzymuje słowa swoim namiętnościom, więc jechać musiał.

Tak mu ciężył ten stosunek, tak znieawidził już i jej piękność, i te więzy miłości, że mu życie brzydło.

A potem Anka.

Czuł, że mu jest najzupełniej obojętną, że zaczyna chwilami nienawidzić, gdy spotykał się z jej jasnym, ufającym wzrokiem.

A musiał udawać miłość, musiał zmiękczać ton głosu wtedy, gdy mu się kłąć chciało, musiał być uprzejmym, uśmiechniętym, przewidującym, słodkim, jak przystało na narzeczonego.

Ta rola była mu wstrętna nad wyraz, a grać ją musiał dla ojca; grał ją i dla niej, i dla siebie już, bo użyciem posagowych pieniędzy Anki związał się na zawsze.

– Ożenię się prędko i wszystko się skończy – myślał. – Przecież tyle małżeństw zawiera się bez miłości! – kończył apatycznie, ale równocześnie jego dumna ambicja pożerała mu duszę.

Burzyło się w nim wszystko na myśl, że przez to małżeństwo zejdzie do roli pionków, że jeśli zechce co mieć, to musi pracować lata całe, musi wyciskać maszyny, ludzi, wszystko, żeby coś wycisnąć dla siebie i to teraz!

Teraz, gdy mu stary Müller dosyć wyraźnie powiedział, że mu odda Madę i zarząd fabryki, od razu milionową fortunę, od razu wielkie interesy i możliwość robienia jeszcze większych.

Od pewnego czasu czuł wstręt do małych interesów, czuł wstręt do tej własnej fabryki, jaką od wiosny budował, do tych oszczędności groszowych, których rezultatem były setki rubli zaledwie.

Tyle lat chodził w kieracie pracy, ciągłej walki i twardego zdobywania każdego rubla, tyle lat tłumił w sobie najrozmaitsze zachcianki, pragnienia, których nie mógł zaspokoić, tyle lat był głodnym szerokiego, niezależnego życia – i teraz, kiedy to wszystko mógł mieć, żeniąc się z Madą – musiał się ożenić z Anką i przez to musiał wrócić do jarzma mierności...

Buntował się przeciwko tej konieczności wszystkimi siłami.

I gdy Anka przyszła prosić na kolację, spojrzął na nią gniewnie i nic nie odpowiedziawszy na jej zapytanie, poszedł przysunąć ojca z fotelem do jadalnego pokoju.

Kolacja była bardzo ożywiona, bo ksiądz z Zajączkowskim kłócili się o politykę, pomagał im pan Adam i Karol, który drwił niemiłosiernie z Zajączkowskiego i z jego koniunktur politycznych, drwił z optymizmu księdza i ze złością zrobił uwagę ojcu, że spraw dzisiejszej polityki nie rozstrzygają armaty, a rozum stanu.

– Ta, ta, ta! – przedrzeźniał stary z gniewem. Ty mi tego nie mów, bo ja cię zawsze przekonam, że ten miał rację, kto miał armat więcej i wojska. Rozum państw – to wielkie armie, gotowe do wyruszenia w pole, to ich dusza, która rządzi.

– Nie, panie Adamie, duszą państw jest sprawiedliwość, jaką się rządzą.

– Państwami kieruje żołądek i jego wymagania – zawołał Karol umyślnie, aby sprawić przykrość księdzu, który się rzucił na te słowa i zaczął dowodzić, że wszystko wypływa z woli Bożej i że ta wola jest sprawiedliwością, i że na tym stoi wszystko.

---

<sup>3</sup> *interesa* – dziś popr. interesy. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *rozdenerwowanie* – dziś popr. zdenerwowanie. [przypis edytorski]

Karol już nie odpowiadał, bo go znudziły te bezpłodne rozumowania, ale gdy ksiądz, ojciec i Zajączkowski zaczęli mu dowodzić, że wszystko się dzieje za wolą Boga, nie mógł już wytrzymać i zawołał z gniewem:

– Tłumaczycie panowie sobie świat przy pomocy katechizmu; nie przeczę, że to łatwe, a miejscami dowcipne nawet.

– Bluźnisz, dobrodzieju mój kochany, bluźnisz i obrażasz nas. Jasiu, smyku jeden, daj no ogieńka, bo mi fajeczka zgasła! – wołał drżącym z oburzenia głosem i fajka latała mu w rękę ze wzruszenia.

Pykał, ale że nie mógł dociągnąć się dymu, bo chłopak nie mógł zapalić, trzasnął go cybuchem przez plecy i znowu zaczął przekonywać, ale teraz już z całą pasją.

– Nie będzie pani żal opuszczać tego rajku, jaki sobie pani stworzyła w Kurowie – mówił cicho Maks do Anki, bo oboje nie mieszała się do rozmowy ogólnej.

Maksa nic nie obchodziły poruszane kwestie, a Anka była smutna.

Karol był taki inny przez te kilka dni, tak jej prawie unikał, że dziewczynę zaczął trapić głuchy niepokój, przeczuwanie jakiegoś nieszczęścia, więc teraz nie odpowiadała Maksowi, tylko pochylając się nad stołem, zapytała cicho, nie podnosząc oczów<sup>5</sup>.

– Nie wie pan, czy Karola nie spotkało co złego?

– Nie. Czy pani co zauważyła?

– Tak mi się zdawało. Prawda, zapomniałam, że musi mieć dosyć kłopotów z fabryką, prawda... – dodała ciszej jakby dla siebie, jakby dla stłumienia podejrzeń i niepokojów.

Podniosła głowę i oczami pełnej troski serdecznej ogarnęła jego twarz schmurzoną i gryzące spojrzenia, jakie rzucał na księdza.

– A co państwo robią z ziemią?

– Dziadek chciał sprzedać, ale pan Karol opiera się temu, za co jestem mu bardzo wdzięczną, bo tak się zżyłam z tym domem, że nie mogłabym bez przykrości pomyśleć, że to już nie nasze. Prawie wszystkie drzewa w ogrodzie, wszystkie żywopłoty sadziła albo matka pana Karola, albo ja. Więc niech pan pomyśli, jakby to było ciężko rozstawać się z tym na zawsze.

– No, przecież można gdzie indziej kupić ładniejszą posiadłość.

– Tak można, ale ona nie będzie Kurowem – odpowiedziała dotknięta, że nie rozumiał i nie odczuwał jej przywiązania do tego kawałka ziemi, na którym się wychowała.

Umilkli, bo kłótnia zawrzała znowu pomiędzy Zajączkowskim i księdzem, który zirytowany bił cybuchem w podłogę i zawołał:

– Dobrodzieju mój kochany, ja ci tylko powiem, że ty jesteś Zajączkowski, herbu barania skóra. Jasiu, ognia.

– A, Panie Jezu Chryste, co ten ksiądz wygaduje. Tomek, huncwocie jeden, a zakładaj konie – ryknął do kuchni, gdzie jego stangret jadł kolację i nie żegnając się wybiegł, ubrał się w ganku i poleciał, ale powrócił za chwilę, bo zapomniał czapki, której szukał po wszystkich pokojach, a znalazłszy ją, przybiegł do stołowego pokoju, huknął pięścią w stół i zawołał wściekle:

– Jegomość podziękuj Bogu, że cię ochrania sukienka kapłańska, bo inaczej ja bym jegomościa nauczył, co to jest mówić: Zajączkowski herbu barania skóra, ja bym nauczył – krzyczał, bijąc raz po raz w stół.

– Nie wylewaj waść herbaty, dobrodzieju mój kochany – rzekł spokojnie ksiądz Szymon.

– Usiądźcie no, o co tu się gniewać, no siadajcież sąsiedzie – zapraszał pan Adam.

– Nie usiądę! Noga moja tutaj więcej nie postoi, gdzie mnie obrażają.

– Nie wylewaj waść herbaty i jedź z Bogiem – szeptał ksiądz, unosząc swoją szklanę, która tańczyła po stole wstrząsanym uderzeniami pięści.

---

<sup>5</sup> oczów – dziś raczej: oczu. [przypis edytorski]

– Jezuita, jak Boga jedynego kocham! – wrzasnął Zajączkowski, huknął raz jeszcze w stół i poleciał.

Na podwórzu, a potem i na drodze jeszcze słyhać było jego głos łączący się z turkotem bryczki, którą odjeżdżał.

– Rozgrzana pała, o! Słyszane to rzeczy, żeby się o byle słowo tak obrażać!

– A bo mu też ksiądz dojechałeś do żywego mięsa.

– To czemu gada głupstwa.

– Każdemu wolno mieć swoje zdania.

– Pod warunkiem, żeby było poparciem naszego – odezwał się ironicznie Karol.

– Dobrodzieju mój kochany, a to ten smyk naprawdę odjechał. Jasiek, kanalio daj no ogieńka – zawołał oburzony i poszedł do ganku wyglądać za Zajączkowskim. – No widzicie, co to za awanturnik. Nakrzyczał, nawymyślał mi i pojechała sobie bestia.

– Wróci, przecież to nie pierwszy i nie ostatni raz – odezwała się Anka.

– Hm, wróci? juźcić, że wróci, ale zawsze, co sobie o nas pomyśli pan Baum.

– Pomyśli, że panowie dobrze śpicie, dobrze się odżywiacie i dużo macie czasu, skoro go zuzywacie na takie dziecinne kłótnie – szepnął ironicznie Karol.

Ksiądz popatrzył na niego groźnie, ale oczy mu się rychło rozjaśniły, wytrząsnął popiół z fajki, nabił w nią tytoniu i podstawiając do zapalenia Jaškowi, szepnął:

– Drażnią cię kły, dobrodzieju mój kochany, to na pluchę...

Pożegnał się wkrótce i poszedł do domu.

Milczenie długie zapanowało.

Stary drzemał na swoim fotelu.

Anka ze służącą sprzątała ze stołu, a Karol zatopił się w głębokim fotelu i palił papierosa, spoglądając z ironią na Maksa, który biegał błyszczącymi oczami za każdym ruchem Anki.

Zaraz się też rozeszli spać.

Maks miał łóżko w saloniku od ogrodu.

Noc była cudowna, słowiki rozśpiewywały się coraz tęskniej, aż im zaczęły odpowiadać z nadrzecznych gąszczów kosy i polał się wtedy nieporównanie piękny deszcz dźwięków, który się rozlewał w tej cichej, czarownej nocy czerwcowej, pełnej ciepła bijącego z rozgrzanej ziemi, gwiazd na niebie i zapachu bzów, których były pełne klomby stojące przed oknami.

Maks nie mógł spać.

Otworzył okno i patrzył w okręcony mgłami świat.

Myślał o Ance, gdy naraz usłyszał przyciszony jej głos.

Wychylił się oknem i zobaczył ją siedzącą w oknie swego pokoju, w oficynie przystawionej do dworu pod kątem prostym,

– Czemu mi nie chcesz powiedzieć, co cię męczy? – prosił głos zwrócony do okna naprzeciw.

– Nic mnie nie męczy, jestem zdenerwowany – odpowiedział głos drugi.

– Zostań dni kilka, to się trochę uspokoisz.

Niewyraźne mruknięcie było odpowiedzią. Potem głos pierwszy mówić zaczął tak cicho, że Maks nic słyszeć nie mógł, natomiast usłyszał chór żab rechoczący gdzieś w łąkach i turkot wozów jadących szosą, i głosy ptaków śpiewających coraz głośniejsze.

Księżyc świecił tak jasno, że powłóczył warstwą srebrną od rosy liście, a mgły czynił podobne do zwojów srebrnej gazy.

– Jesteś romantyczka – rozległ się znowu głos męski z akcentem gniewu.

– Czy dlatego, że cię kocham? Czy dlatego, że każdą twoją troskę biorę w serce tak mocno, mocniej niż swoje własne, że chciałabym, abyś był zupełnie szczęśliwym?

– Nie, nie dlatego, ale dlatego, że bez względu na możliwy katar, chce ci się ze mną mówić przez okno, prawda, że to i przy księżycu, i przy śpiewie słowika.

– Dobranoc.

– Dobranoc pani.

Okno trzasnęło i biała firanka zasłoniła wnętrze pokoju, rozświecone teraz.

Karol nie odszedł, bo rozległ się trzask zapalniczki i cienka struga sinego dymu wypłynęła z pokoju i darła się o słomiany okap dachu, palił papierosa.

Maks również zapalił, ale po cichu, żeby nie zauważono, iż słucha.

Był bardzo ciekawym, czy Anka wróci jeszcze i co mówić będą.

Gniew Maksy na Karola rósł co chwila.

Ale okno Anki wciąż było zamknięte, dostrzegł tylko, że za firanką cień jej się ukazywał co chwila i przystawał przy oknie, byłby może nawet usłyszał szelest jej kroków, ale słowiki przeszkadzały i wiatr, który wstał gdzieś z łąk i bagnisk, przyczołgał się po zbożach, co stały czarną ścianą, wdarł się pomiędzy drzewa i zaczął szumieć i trząść bzami, i dmuchał w słomiane poszycie domu, i owiewał mu twarz wilgotnym, przesyconym zapachem zbóż i ciepła oddechem.

– Jutro będzie Karczmarek, ten co chce kupić od nas – odezwał się znowu głos.

Maks zapatrzył się tak w ogród, że nie widział otwierania okna.

– Przecież ojciec nie sprzeda.

– Ale tobie może potrzebne te pieniądze.

– Tak, potrzeba mi milion – zaszemrał głos drwiący.

– Karczmarek chce wydzierżawić chociażby, potrzebuje majątku dla zięcia.

– To się jutro umówimy.

– Cugowe konie weźmiesz do Łodzi, czy sprzedasz?

– A po cóż bym brał stare klaki.

– Ale dziadek się do nich tak przyzwyczaił – mówił smutnie sopran.

– To się odzwyczai. Dzieciństwo zawsze ci się trzymają. To może i przeplancować pół ogrodu do Łodzi, może byś chciała zabrać i krówki swoje, i kureczki, i gąski, i prosiaczki – byłby cały komplet.

– Jeśli sądzisz, że drwiny powstrzymają mnie od zabrania tego, bez czego obyć bym się nie mogła, to się mylisz.

– Nie zapomnijże zabrać i portretów rodzinnych. Senatorom Rzeczypospolitej musi być tęskno, tam na strychu, do znalezienia się w Łodzi – brzmiał szyderczy głos.

Sopran nic nie odpowiedział.

Słychać było jakby bardzo ciche łkanie, ale tak ciche, że wydawało się Maksowi jakby bełkotem strumienia płynącego za ogrodem.

– Anka, przebac mi! Nie chciałem robić ci przykrości. Taki jestem zdenerwowany. Przebac mi, Anka nie płacz.

Maks ujrzał, że Karol wyskoczył do ogrodu, no i to również zobaczył, że dwa białe ramiona wyciągnęły się do niego z okna i że ich głowy bardzo blisko były siebie.

Nie patrzył i nie słuchał więcej.

Zamknął okno i położył się spać, ale sen nie nie przychodził; przewracał się na wszystkie strony, kłął, palił papierosy, ale zasnąć nie mógł, bo słowiki tak głośno śpiewały w bzach i ciągle mu się wydawało, że słyszy głosy Anki i Karola.

– Co oni mogą sobie opowiadać tak długo? – myślał irytując się coraz bardziej i aby się przekonać, czy są jeszcze, wstał.

Karol stał pod oknem Anki, ale rozmawiali tak cicho, że nic słysząc nie było.

– Spać nawet nie można od tych amatorów – mruknął ze złością i zatrzasnął okno z hukiem.

Nie usnął jednak, nie dała mu spać ta noc czerwcową, kipiącą potężnym życiem wiosny.

Księżyc wisiał wprost okien, napełniał pokój niebieskawym pyłem i rozlewał potoki łagodnego światła na uśpione miasteczko, na puste uliczki i na szerokie pola, pokryte lekko falującymi zbożami, nad którymi rozwłóczyły się szkliste mgły i wisały spokojnie, z łąk i oparzelisk podnosiły się białawe opary niby dymy z kadzielnic i biły kłębamii ku granatowym przestrzeniom; a z mgieł, ze zbóż sennie szumiących, operlonych rosą wznosił się coraz potężniej chrzęst świerszczyków polnych,

płynący przytłumionym i rozdrzanym na miliony dźwięków rytmem bezustannie rozbrzmiewającym w powietrzu; odpowiadały im chóry żab, które podnosiły z bagnisk rechot i wołały ostro: rade, rade, rade!

Milkły po chwili, aby dać głos innym chórom usadowionym na dalszych błotach, po stawach zarośniętych, przeblaskujących lustrami wody, przez które wlokły się promienie księżyca niby ostrza złote; po brzegach strumieni obrośniętych pochylonymi pod ciężarem rosy tatarakami, po rowach pełnych żółtych kaczeńców i niebieskich niezapominajek, nad którymi stały popróchniałe wierzby o wielkich głowach, pokrytych niby włosiem gęstym młodymi pędami.

Ze wszystkich stron zrywały się hymny śpiewane z upojeniem w tę noc wiosenną, pełną czaru nieopowiedzianego, krzyków głębokich, śpiewów, drgań ledwie odczuty i miłości.

Słowiki śpiewały w każdej kępie bzów i odpowiadały im tysiączne głosy ptactwa, klekot bocianów zrywający się czasami z wielkiego modrzewiu, stojącego w szczycie dworu, krzyki jęklive czajek na moczarach, słodki szczebiot jaskółek po gniazdach, chrzęsty zbóż, huczenie chrabąszczów goniących się po drzewach, ryki krów po oborach i rzenie dalekie koni pozostawionych na noc po pastwiskach.

A chwilami milknął świat i robiła się cisza tak głucha i przeogromna, że słyhać było kapanie rosy spływającej z liścia na liść i bełkot rzeczułki za dworem, i jakby głęboki oddech ziemi.

Ale po tej chwilowej ciszy – wszystkie głosy zerwały się w tym mocniejszym chórze, wszystkie drzewa, trawy i stworzenia śpiewały przejmujący hymn miłości i jakby wyciągały do siebie gałęzie, kwiaty, ramiona i oddawały się sobie z przerażającym uniesieniem.

Cała ziemia we wszystkich głosach śpiewów, bełkotów i szumów, we wszystkich tętnach roślin i tworów, we wszystkich skrzieniach blasków i promieniowań, we wszystkich zapachach przenikających powietrze – skłębiała się w przeogromny, nabrzmiały żądzą miłości wir, który jakby porwany rozszaleniem tej wiosennej nocy i pożerającą tęsknotą wieczności, rzucał się na osłep w objęcie bezdni zewsząd rozwarłej, ciemnej, błyszczącej zimną rosą gwiazd i miliardami słońc i planet, głuchej, tajemniczej, strasznej.

Nie, Maks usnąć nie mógł.

Słowik, który śpiewał pod oknem, tak go rozdrażnił, że chciał go spłoszyć – ale ptak nie słyszał, siedział na kołyszącej się pod nim gałązce i śpiewał cudowne trele, lał całe potoki dźwięków, rozsypywał tony jak perły, które spływały na ogród, na kwiaty, niby kaskada rozsiewająca czar niewysłowiony. Samiczka gdzieś z głębi drzewa odpowiada mu sennym i apatycznym ćwierkaniem.

– Ażeby cię diabli wzięli z twoim piskiem! – zawołał zirytowany i rzucił kamaszem w krzak, ptak sfrunął na inny krzew, a gdy Maks zamknął okno i powrócił do łóżka, słowik powrócił na dawne miejsce i śpiewał dalej, co Maksa tak rozgniewało, że odwrócił się do ściany, głowę okręcił w kołdrę i zasnął dopiero nad ranem.

Prócz pana Adama nikt dobrze nie spał tej nocy we dworze kurowskim.

Szczególniej Anka, której ta długa rozmowa z Karolem nie uspokoiła, a przeciwnie, zaczęła budzić w niej jeszcze ciemne podejrzenia, że coś przed nią ukrywa, ale ani przez mgnienie nie przypuszczała, że ukrywał obojętność, że już z trudem i wysiłkiem udawał miłość.

Nie podejrzewała go, bo sama kochała całą potęgą namiętnego, dwudziestoletniego serca.

A potem i dlatego spać nie mogła, że marzyła marzyła o tym łódzkim życiu, o przyszłości niedalekiej, o tym, że za miesiąc opuścić musi Kurów, gdzie tyle lat przemieszkała.

– Co ja w Łodzi będę robić? – snuło się jej uporczywie w myśli, ale rano przerwały jej te majaczenia na pół senne hałasy podwórza, wypędzanie krów na pastwisko i krzyki gęsi.

Wstała zaraz.

Pan Adam już jeździł na swoim wózko-fotelu, popychany przez wyrostka; jeździł po podwórzu, zaglądał do obór, krzyczał na pastucha, pogwizdywał na gołębie, które całą bandą opadły z gołębnika na niego, siadały na ramionach, wisiały na poręczach, trzepały się nad nim rozgruchaną, hałaśliwą chmurą i wydzierały sobie groch, jaki im sam codziennie rozsypywał.

– Waluś, stać w szeregach! Razem do ataku! „Jeden ruchu, drugi ruchu” tra la la la – podśpiewywał i komenderował śnieżnej rozgruchanej hołocie, która ze wszystkich stron zlatywała się do niego.

„Miała babuleńka kozła rogatego. Tych bych, tych bych, kozła rogatego”.

– Waluś, do ogrodu! – komenderował ostro, oganiając się od gołębi kapeluszem, bo leciały za nim i opadały na wózek – A ruszaj no się bestio!

– Adyć się rucham! – odpowiadała sennie wyrostek, włączając wózek do ogrodu, pomiędzy szereg jabłoni pokrytych kwiatem tak gęstym, że na tle trawników stały podobne do olbrzymich stożkowych bukietów, owianych różowym pyłem i chmurą rozbrzęczonych<sup>6</sup> pszczoł, co jak rdzawe kule przelatywały z kwiatu na kwiat.

Wilgi śpiewały na wiśniach, a bocian stał w gnieździe, przewracał szyję aż na grzbiet i klekotał zawzięcie.

– Waluś, a jabłuszka będą, co?

– Juścić, że być będą,

– A ruszaj no żwawo.

– Adyć się rucham!

– A gruszcзки będą, co?

– A będą, co ni mają być.

– A oberwiesz bestio, co?

– Ja tam nie odrywam – burknął chłopak, nierad z przypomnienia.

– A przeszłego roku, kto to zjadł panny, he?

– Franciszków Michał, a nie ja!

– Wiem, wiem, bo dostałbyś tak, że niech cię ręka boska broni! „Miała babuleńka kozła rogatego”. Kosiu, kosiu! – zawołał i zaczął gwizdać na kosa, siedzącego w klatce na zewnątrz okna.

Kos wyjął głowę spod skrzydła, otrzepał się, nasłuchiwał chwilę to jednym, to drugim uchem, skoczył na wyższy pręcik i wesoło odgwizdywał swojemu panu, ale umilkł zaraz, bo się rozlewał w powietrzu świegotliwy, dźwięczny głos sygnaturki z klasztoru, którego wieże i szereg okien widać było z ogrodu nad płaskimi dachami miasteczka.

– Waluś, do klasztoru! odwiedzimy księdza Liberata, a żwawo bestio.

– Adyć się rucham, jaże<sup>7</sup> mi kulasy stergły.

Pojechali ścieżką, biegnącą z ogrodu nad rzeką, pomiędzy łąkami, znad których zwłóczyły się resztki mgieł, niby poszarpane strzępy muślinów, wśród których migotały się fantastyczne skręty jaskółek świegocących w szalonym locie.

Drugi bocian chodził z wielką powagą po łąkach i raz po raz zanurzał ostry dziób w zielonej trawie, wyciągał żabę, podnosił szyję do góry i połykał z namaszczeniem.

Rzeczka płynęła bystro wąskim pasem błękitu, po którym rozpryskiwały się co chwila srebrne łuski drobnych fal i obmywały długie linie żabieńców i niezapominajek, co żółtymi i błękitnymi oczami patrzyły w wodę, na korowody płowych kiełbików, goniących się na mieliznach, na wąskie zielonawe grzbiety i ostre głowy szczupaków, przyczajonych pod liśćmi<sup>8</sup> grzybieni, co jak zielone ręce leżały na wodzie, na tych łupieżców cichej rzeczki, którzy niby kule lecieli wskroś rybiego tłumu, połykali w przelocie kiełbia lub płotkę i nim gromada zdążyła się rozbiec, znikali w gąszczach brzegów, pomiędzy czerwonymi liśćmi pomórników, pod cieniem rozkwitłej czeremchy, duszonej przez ramiona dzikiego chmielu, które drgały na wartkim prądzie niby rozsypane zielone warkocze.

---

<sup>6</sup> rozbrzęczonych – dziś: rozbrzęczanych. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> jaże (gwar.) – aż. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> liśćmi – dziś popr. N.Im: liśćmi. [przypis edytorski]

Potem jechali tyłami miasteczka, ścieżką biegnącą przez zagony ogrodów warzywnych i sadów, pełnych kwitnących drzew i zapachów cebuli, gdzie na miedzach pasły się brodate kozy, a na krzewach zielonego agrestu, na połamanych płotach wietrzyła się pościel. Przejechali ogród, jaki się rozciągał tuż za murami otaczającymi klasztor i Waluś pchał wózek do wnętrza klasztoru na korytarz.

W klasztorze pusto było i cicho.

Oknami wdzierał się wiatr i zaglądały zielone gałęzie krzewów, bo w pośrodku murów był niewielki ogródek.

Kilka drzew owocowych pięło się do słońca i zaglądało do cel pierwszego i drugiego piętra, a resztę ogródka zajmowały trawy i chwasty, na tle których migotały białe, smutne główki narcyzów.

– Niech będzie pochwalony! – zawołał pan Adam, przystając przy jednym z okien.

– Na wieki wieków! – odpowiedział Liberat, który w swoim biało-czarnym habicie dominikańskim, chudy, zgarbiony, włókł się pod ścianą.

Podniósł wybladłe i jakby nieprzytomne oczy, patrzył długo, nim poznał, kto do niego zagadał.

– Jakie zdrowie? Bo wczoraj mówił ksiądz Szymon, że ojciec zdrowszy.

– Nie, nie... nie zdrowszy – szeptął ksiądz bladymi ustami.

Jego szara, wyschnięta twarz, podobna w tonie do tych otaczających murów, rozjaśniła się jakby uśmiechem.

– Może ojciec będzie łaskaw przyjść dzisiaj do nas na obiad?

– Nie, nie! Nic już jeść nie mogę, żyję oczekiwaniem, bo dziś lub jutro umrę...

– Co też ksiądz mówi – zaprotestował energicznie pan Adam, ale ksiądz Liberat uśmiechnął się i głaszcząc się po twarzy gałązką bzu kwitnącego odetchnął tym zapachem i szeptął głucho:

– Śmierć już stoi przy mnie! Śmierć już jest we mnie! – powtórzył mocniej, aż się pan Adam cofnął nieco, a Waluś przeżegnał się ze strachu.

– Był u mnie dzisiaj w nocy przeor – dodał cicho.

– Jezus Maria! Przywidzenie, mój ojciec i nic więcej. Proszę, toż on umarł z piętnaście lat temu.

– Był. Widziałem go! Modliłem się na chórze i kiedyś schodził do celi, zobaczyłem jak szedł przede mną korytarzem, do każdej celi pukał i z każdej celi, odpowiadał mu głos jakiś, a on szedł dalej jakby zwołując wszystkich. Zniknął mi na zakręcie, a gdym się już położył, usłyszałem pukanie. Podniosłem się i otworzyłem drzwi: stał na środku korytarza, rękę podniósł do góry, patrzył na mnie i powiedział:

– Pójdź!

Poszedłem za nim, wiódł mnie przez wszystkie korytarze, a ze wszystkich cel wychodzili ojcowie i szliśmy razem do refektarza, tam już było pełno i ciągle wchodzili nowi, wszyscy jacy byli od samego początku naszego klasztoru. Jakiś bardzo stary ojciec odczytywał z wielkiej księgi nazwisko, wywoływał po kolei, po kolei podchodzili do niego, a on wtedy kartę z nazwiskiem wydzierał i rzucał w powietrze, zapalała się i kula ognista wypływała oknami w świat, a każdy wyczytany zniknął. Zostałem tylko sam, a on przeczytał moje imię: Ojciec Liberat.

– Pójdź! – szepnął mi przeor.

– Ostatni! – zawołał czytający i wolno wydzierał moją kartę, tak wolno, że czułem, iż mi wydziera życie.

Ostatni! – powiedział przeor, popatrzył na klasztor, na mnie, pocałował mnie w czoło i szepnął:

– Pójdź!

– Idę o panie! kiedy mnie wołasz do siebie. Idę!... – szepnął ksiądz zapatrzonego w płat błękitu wiszący nad ogródkiem, skrzyżował ręce na piersiach i stał, podobny ze swej siności do posągów.

Jaskółki biegały nad nim jak szalone, wróble ćwierkały po drzewach, nie słyszał nic i nic nie widział, zatopiony w modlitwie i w wizji tej przeczuwanej śmierci.

Cały zakon wymarł i on ostatni z szeregu niezliczonego, czuł, że umiera.

Pan Adam przynaglał do pośpiechu Walusia, bo chciał jak najprędzej znaleźć się w domu. Ksiądz Liberat przejmował go strachem zawsze, a dzisiaj zatrzęsł nim do głębi opowiadaniem tego

widzenia nocnego. Pan Adam oddychał powietrzem pól i kwiatów, patrzył na zieleń i na ludzi, próbował gwizdać i przyśpiewywać, ale głos mu wiał w gardle, oglądał się za siebie, jakby z obawą, że ujrzy te umarłe korowody zakonne i krzyczał:

– Waluś, a ruszaj no się bestio!

– Adyć się rucham.

Na ganku zastał Ankę; siedziała na niskim stołeczku, otoczona chmurą młodziutkich kurcząt, którym dawała jeść.

Maks stał we drzwiach i z podziwem przypatrywał się sielankowej scenie.

– Gdzie ojciec był?

– U księdza Liberata.

– Zdrowszy?

– Ale, on już zupełnie *mente captus*<sup>9</sup>, zupełnie. Opowiadał mi niestworzone rzeczy i twierdzi, że dzisiaj lub jutro najdalej umrze.

– Czy to ten ksiądz, który był wczoraj u państwa? – zapytał Maks.

– Nie. Ksiądz Szymon jest naszym proboszczem, a ten zaś, to ostatni z dominikanów, jacy byli w naszym klasztorze. Ojciec Liberat, to człowiek wielkiej nauki i pobożności, ale..! chory. Prawie obłąkany. Przez całe tygodnie nieraz nie sypia, nie jada, od ludzi stroni, a tylko modli się rozciągnięty na podłodze dawnego chóru zakonnego i nocami odwiedza puste cele i rozmawia z dawno umarłymi. A przy tym wszystkim...

Nachylił się do Maksa i coś szeptał, ale Anka mu przerwała.

– Tasiuchny, taś, taś, taś! – wołała na stado kacząt, trzepiących się zapamiętałe w sadzawce, nie zważając na rozpaczliwe krzyki i bieganinę kury, która je wysiedziała.

Kwoka krzyczała jakby na ratunek, podfruwiała na wodę i cofała się z przestraczem.

– Pani codziennie i sama karmi wszystkich drób?

– Codziennie.

– Przecież to duża praca!

– Skoro się samo nic nie robi, więc trzeba robić – odpowiedziała wesoło i zwoływała przed ganek coraz nowe stada, które ściągały ze wszystkich kątów podwórza, rzucały się na żer chciwie i napełniały powietrze wesołym krzykiem.

Anka siadła na progu ganku i raz po raz czerpała ze stojących obok niej przetaków to garść kaszy jaglanej, to jęczmienia, to pszenicy i rzucała na ruchliwą, rozkrzyczaną hołotę ptasią, kłębiącą się zapamiętałe i bijącą się pomiędzy sobą.

Były kurczątką pokryte żółtym puchem, które różowymi dzióbkami, z nadzwyczajną zwinnością wybierały jagły i co chwila biegły do kwoki, raz wraz nawołującej dzieci do nowego żeru, jaki odkrywała na ziemi; były indyczki wysmukłe, białe, na zielonych niby z brązu nóżkach, delikatne, kapryśne, które biegnąc, podnosiły krótkie skrzydełka i krzyczały jękliwie; były kaczęta już w pierzach, ale tak brudne, umazane w błocie, że nie miały barwy, te szły gromadą zbitą i hurmem w milczeniu rzucały się na żer i połykały łapczywie, trzęsąc dziobami w powietrzu, nadziewając się po prostu kaszą; przyszła na końcu banda gęsi z gąsiorem, które kołysały się niezgrabnie, trzęsły obwisłymi brzuchami i gęgały niespokojnie, ale pierwsze rzuciły się na jęczmień i tratowały własne dzieci; ta gromada robiła najwięcej wrzawy, bo co chwila podnosiły dzioby, wyciągały zmijowate szyje i krzykliwie rozmawiały ze sobą, a gęsior szczypał podskakujące niezgrabnie, gonił za kaczorami, syczał na indyczki i przybiegał do gęsi, głośno ciesząc się ze zwycięstwa.

Potem zrobił się przed gankiem pisk i zamęt, bo wszystko się pomieszało ze sobą i zaczynało się bić.

Stare gęsi syczały na indyczki, które z rozczapierzonymi skrzydłami błyskały groźnie ślepiami i jeszcze groźniej gulgotały, a indor w tęczy rozwachlarzonego ogona, o rozczzerwienionych z gniewu

---

<sup>9</sup> *mente captus* (łac.) – upośledzony na umyśle. [przypis edytorski]

koralach, skakał ostrymi pazurami na kaczorów o zielonych, pawich łbach, które chyłkiem uciekały, po drodze porywając jedzenie.

Na domiar złego, gołębie zwabione piskiem ptasim i widokiem pana Adama, krążyły nad domem i jak kule śnieżne spadały w środek stada, gruchały, kręciły się odważnie, kradły ziarna spod dziobów, uciekały, gonione przez kwoki i od syków gęsich i powracały niestrudzenie, uwijając się zapamiętale.

Anka bawiła się wesoło tą walką, jaka wrzała u jej nóg i wciąż sypała nowe garście ziarna na głowy i skrzydła ptactwa.

– Podobna jest teraz pani do Mickiewiczowskiej Zosi.

– Z tą wielką różnicą, że Zosia bawiła się gospodarstwem, karmiła drób dla przyjemności.

– A pani robi to dlaczego?

– Aby dobrze wykarmione sprzedać w Łodzi. Mniej się to panu podoba, co?

– Więcej jeszcze, bo muszę podziwiać pani praktyczność.

– Praktyczność z musu.

– Nigdy prawie ta praktyczność nie powstaje dlaczego innego. Ale pani dziwnie umie łączyć praktyczność z czymś zupełnie innym, z czymś, czego nazwać nie umiem, bo...

Przerwał mu pan Adam, bo zaczął gwizdać przeciągle i natychmiast indy nastroszyły się i zaczęły gulgotać, gęsi krzyczały głośno, a kwoki ogarniały swoje małe, rozstawiając nogi i skrzydła i kwakały zestrachane jakby przed jastrzębiem, gołębie wzbiły się w górę i jak obłąkane uciekały do gołębnika, wpadały do stodoł, a nawet kilka uciekło do ganku, a w całej gromadzie podniósł się taki krzyk, pisk, rwetes, tak wszystko uciekało, tratowało się, że pan Adam śmiał się na całe gardło.

– A co, tom zrobił figła! – wołał.

– Co to za gęsia idylla? Spać nie mogłem przez nią – zawołał Karol, wchodząc na ganek.

– Wyśpisz się w Łodzi.

– W Łodzi mam co innego do roboty – szepnął niecierpliwie, zimno przywitał Ankę i znudzonym wzrokiem przyglądał się niebieskim dymom, bijącym wielkimi słupami nad miasteczkiem.

– Koniecznie musicie panowie jechać dzisiaj? – zapytała nieśmiało Anka.

– Koniecznie i chociażby zaraz.

– Więc jedźmy, jestem już gotowy – powiedział ostro Maks, zirytowany tym „koniecznie”.

– Nie, nie. Pojedziecie panowie po południu, teraz ja nie pozwalam. Pójdziemy do kościoła na sumę, musimy odwiedzić księdza Szymona. Potem zjemy obiad, bo umyślnie prosiłam na niego pana Zajączkowskiego i księdza, a wreszcie musi się pan, panie Karolu, rozmówić z Karczmarkiem, ma być o trzeciej. A przed wieczorem odprowadzimy panów.

– Dobrze, dobrze! – rzucił prędko Karol i poszedł do pokoju jadalnego, bo podano śniadanie, po czym, narzekając na gorąco, wyniósł się do ogrodu i siedział pod kwitnącymi jabłoniąmi, obsypywany co chwila śniegiem płatków padających za najmniejszym powiewem wiatru.

Pszczoły brzęczały na jabłoniach jak w ulu, a po całym ogrodzie rozpląwał się słodki, dyszący zapach bzów, jabłoni i głosy wilg śpiewających.

Pan Adam poszedł się przespać, jak zwykle to robił po śniadaniu, bo wstawał o świtanie; Anka ubierała się do kościoła, a Maks chodził zarośniętymi trawą alejkami, okrążał ze wszystkich stron Karola, czasem się zapuszczał na drugą stronę dworu od rzeki i powracał, a przechodząc obok niego nie mówił nic, unikał nawet jego wzroku i szedł w głąb ogrodu, bo mu się wydało, że tam mignęła jasna sukienka Anki, a przekonawszy się, że to różowieje jabłoni pokryta kwiatami, stanął przy parkanie i patrzył na szeroką roztocz zbóż zielonych, kołyszących się z jednostajnym szmerem, przez które ścieżyną biegnącą od dalekiej wsi, snuł się długi łańcuch czerwono ubranych kobiet i chłopów w białych kapotach, dążących do kościoła; patrzył, a nadśluchiwał chciwie, czy się też nie odezwie gdzie głos Anki.

Nie mógł zdać sobie sprawy, co się w nim działo.

– Nie wyspałem się, czy co? – myślał, ściskając sobie głowę rozbolełą. – Do diabła ze wsią. Poczul się tak raptownie zdenerwowanym, że poszedł do Karola.

– Nie moglibyśmy wyjechać wcześniej?

– I ty masz już dosyć?

– Rzeczywiście, że wyleciałem ze wszystkich trybów, czuję się jak kalosz rozdeptany. W nocy spać nie mogłem, teraz nie wiem, co robić ze sobą.

– Połóż się na trawie, oddychaj wonią kwiatów, nasłuchuj szmerów traw, rozkoszuj się śpiewem ptaków, pław się w słońcu, a w interwałach myśl o piwie, albo o czarnej Antce – drwił Karol.

– Daję słowo, że nie wiem, co ze sobą robić. Dwadzieścia razy obejrzałem ogród; no i cóż? widzę, że piękny, że drzewa kwitną, że trawa zielona, ale co to dla mnie za „papier”. Byłem na łące – prześliczna. Byłem w stajni, byłem wszędzie, wszystko widziałem ale mam tego już dosyć. Panna Anka zachwalała mi las – zobaczyłem, że drzewa wielkie, że wilgoć i że nie ma na czym usiąść.

– Czemuś nie powiedział, byłaby ci kazała tam zanieść kanapkę.

– A przy tym jestem niespokojny o matkę i... – urwał i nie dokończył, tylko ze złością rozbijał nogą kretowisko świeżo wytoczone na trawniku.

– Pociesz się, pojedziemy, muszę tylko tę całą przykrą pańszczyznę odbyć przecież przykładnie.

– Pańszczyznę – zapytał zdziwiony Maks. – Narzeczona i ojciec – to pańszczyzna?

– Nie miałem ich na myśli, a tylko tych bałwanów, którzy mają być na obiedzie i wizyty – zacierał gorąco niebacznie powiedziane słowo, ale Maks, jakby na przekór, zaczął go przekonywać, że Zajączkowski jest niesłychanie sympatyczny, ksiądz bardzo rozumny itd., ale Karol zdziwiony podniósł na niego oczy.

– Cóż ty za koziołki wyprawiasz? Wczoraj zachwyciłeś się wsią, dzisiaj ziewasz i chcesz uciekać do Łodzi; wczoraj tych dwóch nazywałeś ludźmi z operetki, dzisiaj zaś bronisz ich.

– Bo mi się tak podoba! – zawołał rozczarowany Maks i ruszył w głąb ogrodu, ale zawrócił natychmiast pośpiesznie, bo Anka z ganku wołała:

– Panowie, czas iść do kościoła.

Zapomniał o zdenerwowaniu, o złości, o nudzie, tylko patrzył na Ankę, która stała na ganku i naciągała długie białe rękawiczki.

Była dzisiaj prześliczną w jasnokremowej sukni, bardzo lekkiej, zarzuconej niesłychanie delikatnym deseniem bladofiołkowym, pasek i kołnierz miała tak samo bladofiołkowe, kapeluszek wielki, płaski, ubrany niezapominajkami i gazą białą.

Była tak prześliczna, takim dziwnym urokiem młodości, siły i szlachetności promieniały jej szare oczy, że Maks nie wiedział co mówić dalej. Szedł obok czas jakiś i uspokoiwszy się nieco, obrzucił wzrokiem fabrykanta jej suknię i szepnął bardzo poważnie:

– To twoja „Brylantyna”, Karol! Doskonała w kolorze.

– I świetnie się pierze – dodała Anka, rozśmieszona jego słowami.

Poczul się dotkniętym jej śmiechem, więc się odsunął nieco i patrzył na szeroką uliczkę miasteczka, przez którą szli do kościoła.

Miasteczko było nędzną osadą, zamieszkałą przeważnie przez Żydów tkaczy, bo co okno prawie stał warsztat tkacki, a po sieniach długich, zabłoconych, czarnych, siedziały stare Żydówki i zwijały na kołowrotkach przędzę; suchy monotony turkot warsztatów bił od każdego okna i drżał w cichym, przesłonecznym powietrzu.

Nędzne sklepiki miały drzwi poprzywierane, jakby broniły się od kłębów kurzawy.

Na środku głównej ulicy czerniały wielkie kałuże nigdy nie wysychające błota, po których gromadami zerowały kaczki.

Na wprost klasztoru, w rynku, który stanowiła piaszczysta wydma, obstawiona szczytami domów, wspartych na drewnianych kolumnach, było kilka domów świeżo spalonych, z których tylko wśród rumowisk i ścian porozdzieranych sterczały nagie kominy.

Przez porozpadane<sup>10</sup> mury ogrodzenia klasztornego, zarośnięte chwastami i kępami popielatego ligustu i obsadzone wielkimi brzożami o zwisłych gałęziach i białej korze, widać było odrapany fronton kościoła i wysmukłą dzwonnice, ukrytą w rogu cmentarza.

Pod samym murem, w cieniu brzoż stało kilkadziesiąt chłopskich fur i bryczek, nieco dalej, na środku rynku pod płóciennymi dachami tuliło się kilkanaście straganów, a poza tym pusto było zupełnie, bo słońce prażyło coraz mocniej.

Zostali na cmentarzu, bo z powodu natłoku nie było możebnym dostać się do wnętrza kościoła. Anka usiadła na schodach prowadzących do zakrystii i modliła się, Maks zaś i Karol poszli pod brzozy i przysiedli na jakiejś starej ozieniałej płycie grobowej, których cały szereg tulił się pod murami.

Nabożeństwo było już rozpoczęte. Z wnętrza kościoła przez pootwierane drzwi brzmiały przytłumione dźwięki organów, a czasem wznosił się głos organisty, czasem chór głosów dźwięczał uroczysto, czasem słaby głos księdza przedarł się po tej ruchomej sali głów, jaka parła się od drzwi, biła o kraty prezbiterium i cofała się ze szmerem modłów, westchnień i kaszlań; a czasem przycichało wszystko i wtedy ostre i przenikliwe głosy dzwonek śpiewały spżem i odpowiadało im wielkie, głębokie westchnienie, wyrwane ze wszystkich piersi, a wszyscy znajdujący się na cmentarzu przyklękali, bili się w piersi i powracali znów pod brzozy i w rumowiska murów, gdzie siedzieli.

– Nasze chustki! – szepnął Maks, wskazując na kilka kobiet, które jak maki jaskrzyły się na piasku i słońcu, siedząc z podwiniętymi nogami i przesuwając ziarna różańca.

– Już wypełzłe – odpowiedział z ironią nieco Karol.

– Te wypełzłe to pabianickie; mówię o tych amarantowych z zielonym deseniem, te nigdy nie wypełzną, można wygotować w słońcu i nigdy nie wygrzyzie.

– Wierzę, ale co mnie to obchodzi?

– Dzień dobry panom! – rozległ się przytłumiony głos z boku.

Stach Wilczek, z cylindrem w rękę, elegancki, pachnący, stał przy nich i wyciągnął rękę jak dobry znajomy.

– Co pan robi w Kurowie? – zapytał Maks.

– Przyjechałem na święta do rodziny. To mój rodzic w tej chwili dudli na organach – powiedział z pogardliwą pobłażliwością i bawił się przekręcaniem licznych pierścionków na palcach.

– Długo pan tu zabawi?

– W nocy wyjeżdżam, bo mój Żyd nie dał mi dłuższego urlopu.

– A gdzie pan teraz pracuje?

– W kantorze Grossglicka, ale to chwilowo tylko.

– Puścił pan węgiel?

– Nie. Mam kantor na Mikołajewskiej, bo Grossglick swój czarny interes sprzedał Kopelmanowi, a u tego parcha nie chciałem być. Czy panowie macie już dostawę węgla do swojej fabryki? – zapytał ciszej, pochylając się ku Karolowi.

– Jeszcze nie – odpowiedział Maks.

– Jakie pan daje warunki? – zapytał Karol chłodno.

Stach przysiadł na grobie obok niego i szybko zaczął pisać w notesie i obliczać, aż w końcu podsunął papier pod jego oczy.

– Za drogo! Brauman o siedem i pół kopiejki daje taniej na korcu.

– Złodziej i oszust! Da panu za to na wagonie dziesięć korcy<sup>11</sup> mniej – zawołał cicho Stach.

– Pan myślisz, że się tego węgla nie będzie sprawdzać u mnie, czy co?

– Wyważy się nawet więcej, bo przecież Brauman nie na próżno zlewa węgiel wodą przed wysyłką.

– Być może, ale kto mi zaręczy, że pan tego samego nie będziesz robić?

---

<sup>10</sup> porozpadane – dziś popr.: rozpadłe. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> korcy – dziś popr. forma D. lm: korców. [przypis edytorski]

– Dobrze, dam panu po cenie takiej, jaką Brauman deklarował. Nie zarobię prawie nic, ale idzie mi bardzo o tę dostawę. Mówiłem już o tym z panem Weltem, ale mi powiedział, że pan Borowiecki decyduje. Więc jakże? – zapytał uprzejmie, nie zważając na poprzednie słowa Karola i na jego chłodny, pogardliwy ton mowy.

– Przyjdź pan jutro do nas, to się rozmówimy.

– W jakiej mniej więcej ilości będziecie panowie potrzebowali węgla? – pytał Maks.

Nie usłyszał odpowiedzi.

Umilkli wszyscy, bo przy odgłosie dzwonów bijących poważnie i śpiewów całego ludu, procesja wyszła z kościoła i niby długi wąż o czerwonej głowie baldachimy, pod którym szedł ksiądz, wysuwała się z wielkich drzwi i migotała łuską czerwonych, żółtych i białych ubiorów kobiet, popstrzonych czarnymi kapotami chłopów i złotymi płomykami świec zapalonych, pełzała pomiędzy szarymi murami kościoła a zielonym wałem brzezin i okręcała długim ciałem kościół.

Ogromny chór głosów bił w rozpalone powietrze i rwał się do białawego nieba, aż chmury gołębi zrywały się z wieżyc kościoła, ze zrujnowanych dachów klasztoru i kołowały wysoko.

Procesja wróciła do kościoła, głosy umilkły, tylko liście brzoź szemrały i chwiały się sennie w rozpalonym powietrzu, od zabudowań klasztornych dochodziły gęgania gęsi, a wewnątrz kościoła rozbrzmiewało głosami śpiewów, dzwonek i organów.

Upał potęgował się coraz bardziej, słońce lało ogień na gontowe dachy miasteczka i jakby wypijało wszelką moc, taka cisza bezwładna leżała w rozdrzanym powietrzu, nad obręczą pól zielonych, ogrodów stojących bez ruchu, łąk zielonych, jakby przysłoniętych opaloną mgłą, i nad lasami, co wstęgą ciemną opasywały miasteczko i żółciły się łysinami piasków i wydm górzystych.

– Nie słyszał pan, czy Neuman położył się? – zapytał Maks Stacha.

– Już.

– Zupełnie?

– Nie, boczkciem tylko, na jakie trzydzieści procent! Panowie tracą?

– Mamy na nim cośkolwiek – machnął niecierpliwie ręką.

– Może bym znalazł kogo, coby pańskie pretensje nabył, ma się rozumieć, jeśli tanio i z dobrym procentem dla mnie.

– Cóż u diabła, we wszystkim pan robi?

– I w niektórych innych rzeczach! – zawołał głośnie i ze śmiechem Wilczek.

– Pan dobrze zna Kurów? – zagadnął Maks, aby odwrócić rozmowę z interesów, bo Karol niechętnie spoglądał na Wilczka i milczał uparcie.

– Ja się tutaj urodziłem, tutaj pasalem ojcowskie gęsi i bydłatka, tutaj brałem po grzbiecie postronkiem, ksiądz Szymon mógłby o tym obszerniej pomówić. A, pan może nie wierzy, że ja pasalem bydło? – zapytał ironicznie, widząc zakłopotaną minę Maksa.

– Trudno mi w to uwierzyć, patrząc na pana.

– Ha, ha, ha! to mi pochwlebia. Pasało się bydłatka, pasało! brało się postroneczkiem po plecach, kalikowało się ojcu na organach, czyściło się ojcom w klasztorze buty, zamiatało się nie tylko kościół! różnie bywało. Nie wstydzę się tego zupełnie, bo i co to pomoże, fakt pozostaje faktem, a zresztą, doświadczenie to kapitał umieszczony na procent składany.

Maks się nic nie odezwał, a Karol dość lekceważąco oglądał go ze wszystkich stron i uśmiechał się ironicznie, bo był wyelegantowany przesadnie, a nawet śmiesznie, jasne kratki, lakierki, jedwabna kamizelka biała, jasny krawat z ogromnym brylantem, wykwinna żakietka, cylinder błyszczący, długi złoty łańcuszek od zegarka, złote binokle, których nie używał, kilka kosztownych pierścionków na palcach, którymi bawił się ustawicznie – nie harmonizowały z jego pucułowatą twarzą, pokrytą pryszczami, i małymi oczkami chytrze świecącymi, ani z tym niskim, pofałdowanym czołem, nad którym leżały rozczesane na środku dużej płaskiej głowy włosy nieokreślonego koloru; długi, ostry nos i wywinięte tłuste wargi robiły jego twarz podobną do pyska mopsa, którego ucharakteryzowano na bociana.

Nie zważał, że mu nie odpowiadali, uśmiechał się chwilami, patrząc na ich głowy, jakimś uśmiechem wyższości i politowania, a gdy po nabożeństwie tłumy zaczęły się wylewać z kościoła i przechodzić obok nich, prostował swoją kwadratową figurę, przysunął się bliżej do Karola i dumnie a chłodno patrzył na szeregi łyczek i łyków kurowskich, na swoich rówieśników i przyjaciół z pastwiska, którzy spoglądali na niego z podziwem i nie śmieli podejść do przywitania.

Przyszła i Anka, przywitał się z nią uniznienie, a gdy go zapraszała na obiad, rozczzerwienił się z radości i głośno, bardzo głośno, żeby go słyszeli przechodzący, dziękował:

– Muszę być w domu, bo wszystkie moje siostry się zjechały. Bardzo mi szczerze żal, że muszę się pozbawić takiej przyjemności, ale to już chyba kiedy indziej.

– Idziemy teraz do księdza Szymona – szepnęła Anka.

– Odprowadzę tam państwo, bo i ja muszę go odwiedzić.

Szli wolno przez zatłoczony cmentarz.

Grupy chłopów w cajkowych<sup>12</sup> kapotach i w czapkach ze świecącymi daszkami i kobiet wiejskich w jaskrawych chustkach i wełniakach – kłaniały się im uniznienie, ale przeważająca część tłumy złożona z robotników fabrycznych, przybyłych na święta do rodzin, stała twardo i wyzywająco patrzyła na fabrykantów, jak ich nazywano.

Ani jeden kapelusz się nie uchylił przed Karolem, chociaż poznawał twarze wielu robotników z dawnego swego oddziału u Bucholca.

Tylko do Anki często podchodziły kobiety, całowały ją po rękach, lub, jak niektóre, podawały tylko rękę i zamieniały po słów kilka.

Karol szedł za nią i oczami roztrącał tłum. Maks ciekawie się przypatrywał, a Wilczek szedł na ostatku i głośno, łaskawie mówił do niektórych.

– Jak się macie? Jak się macie?

Ścisnął wyciągające się do niego ręce i zapytywał to o robotę, to o dzieci, to o zdrowie.

Kłaniali mu się prawie wszyscy i patrzyli na niego z życzliwością i z dumą, że przecież oni tego pana znają jeszcze z tych czasów, gdy na tym samym miejscu bijał się z nimi lub pasał bydło i że to ich człowiek.

– Ależ oni wszyscy pana znają – powiedział Maks, gdy weszli do księżego ogrodu.

– Znają. Pana Wilczka całe miasteczko kocha, szczycą się nim – ozwała się Anka.

– Tyle skorzystałem na tej miłości, że moje jasne rękawiczki przez tę przyjaźń brudne i spocone na nic.

To mówiąc ściągnął i ostentacyjnie rzucił je w krzaki.

– Z powrotem je zabierze – zauważył półgłosem Karol.

Wilczek usłyszał uwagę i przygryzł usta ze złości.

Ksiądz Szymon mieszkał w klasztorze na dole w kilku narożnych pokojach, przerobionych z cel zakonnych, których okna wychodziły na wielki i doskonale utrzymany ogród owocowy.

Duży ganek drewniany, niedawno wystawiony, bo drzewo było jeszcze żółte, prowadził do mieszkania.

Wino zasłaniało całą ścianę i zwieszało się zieloną frędzlą nad oknami, a olbrzymie krzaki bzów stały tak blisko, że wielkie bukiety kwiatów zaglądały do wnętrza mieszkania.

Ksiądz Szymon ledwie co wrócił przez klasztor i przyjmował ich z całą serdecznością w narożnej salce wybielonej wapnem, spod którego przebijały się przymglone barwy i roztarte kontury dawnych fresków, pokrywających sklepienia.

W salce panował ton fioletowo-zielony od bzów rozkwitłych i od zieleni ogrodu.

Chłód przejęty wilgocią owionął ich na samym wstępie.

– Jak się masz, Stachu? A cóż to smyku nie byłeś wczoraj u mnie, he?

---

<sup>12</sup> *cajkowy* – wykonany z *cajgu* (z niem. *Zeug*): grubego, mocnego materiału płóciennego, bawełnianego lub wełnianego o skośnym splocie. [przypis edytorski]

– Nie mogłem, przyjechały moje siostry i ani na krok nie ruszałem się z domu – tłumaczył się Wilczek całując księdza w rękę.

– Mówił mi twój ojciec. Nie mogłeś go to zastąpić na chórze, he? Stary ledwie nogami włóczy. Jasiek, Jasiek! a daj no smyku fajeczkę i papierosików dla panów.

– Zapomniałem grać zupełnie, ale jeśli ksiądz pozwoli, to już umyślnie nauczę się jakiej pięknej mszy i wtedy przyjadę ją zagrać.

– A dobrze, dobrze!... Anka, Anusiu! A chodźże do mnie dziecko, pomagać przyjąć gości. Widzisz ją, myślała, że jej pozwolę próżnować – śmiał się ksiądz, krzątając po pokoju i wysuwając stół na środek.

– Pan dawno zna księdza? – zapytał Wilczka Maks.

– Od dziecka. Pierwsze litery razem z pierwszymi cybuchami wziętem od księdza i nie zaprzeczam, że było tego dosyć – śmiał się Stach.

– Przesadzasz, dobrodzieju mój kochany, przesadzasz, tych cybuchów nie było wcale za wiele.

– Przyznaję otwarcie, że było ich znacznie mniej, niż mi się należało.

– A widzisz! Sprawiedliwy jesteś dla siebie, to będzie jeszcze z ciebie człowiek, ho, ho, człowieczek niezgorszy! Jasiek! Jasiek! gdzież ten smyk się podział.

A nie mogąc się go doczekać, sam przynosił z drugiego pokoju różne specjały i rozstawiał na stole.

– Moje dzieci, moi dobrodzieje kochani, panie Karolu, panie Baum, Stachu, po kieliszeczku wiśniaczka. Ma sześć lat, słodki jak miód, a co za kolor, to proszę patrzeć – czysty rubin.

Podsunał kieliszek pod światło, w którym istotnie wiśniak mienił się czysto rubinowym fioletem.

– Zagryźcie no teraz tym placuszką z serem, mówię wam, że rozplywa się w ustach. No, jedzcież, bo obrazicie Ankę, ona go robiła sama i przysłała mi.

– Księżę Szymonie, przecież zaraz idziemy na obiad.

– Nie masz głosu, dziewczyno, bądź cicho. Widzisz ją, będzie się tu rządzić jak szara gęś. Pijcież panowie.

– Czekamy na księdza dobrodzieja.

– Nie piję, moi dobrodzieje kochani, nie piję, Anusia, wyręcz no mnie dziewczyno.

Wybiegł i po chwili powrócił z dosyć dużym gąsiorkiem pod pachą, zaginając równocześnie sutanę, która mu się odpinała ustawicznie.

– A teraz na zakończenie napijemy się winka, no, napijemy się i basta. Patrz no dziewczyno, to poziomkowe, to samo, któreśmy razem trzy lata temu robili. Patrzcie, jaki ma kolor. Czyste słońce o zachodzie, czyste słończko, a jaki zapach, o powąchajcie no!

I podtykał im pod nos butelkę, która buchała zapachem poziomek.

– Ależ księżę! Ksiądz mi tak gości uraczy, że nie będą mogli jeść obiadu.

– Cicho Anka, z Bożą pomocą zjemy i twój obiadek, zjemy! Słuchajcie no dzieci... a gdybyśmy tak spróbowali wędlinek, co? tak z majowymi grzybkami, he? No, moi dobrodzieje kochani, moje dzieciątka, zróbcie mi tę przyjemność. Nie przyjmę was ananasami, bo nie mam, biedny sługa Chrystusów jestem, ale co mam, to bierzcie. Anka, a proszę za mną. Stachu, bo cię cybuchem przemierzę, jak będziesz taki niemrawy, ruszajże się chłopcze.

– Ale ksiądz ma takie zapasy, że nie powstydziliby się ich i najlepsza gospodyni.

– A to twoja Anka zrobiła wszystko. No, nie piecz raczków dziewczyno, nie wstydz się. Nic nie miałem, mój dobrodzieju kochany, ale to nic, niech Stach powie, żyło się czasem na bór<sup>13</sup>, ale jak mi dziewczyna zaczęła dogadywać: A sadz ksiądz drzewa owocowe, a prowadz pszczoły, a pilnuj ogrodu, a rób to, a rób tamto, tak i wyterkotała wszystko, bo któż się oprze niewiastce! Ho, ho, Anka to złoto! Żebyam ja wam pokazał zakrystię, co tam białizny kościelnej, jakie kapy, jakie ornaty, jakie

---

<sup>13</sup> bór (daw.) – kredyt, pożyczka. [przypis edytorski]

stule, to i katedralny kościół nie powstydziliby się, a to wszystko ona, własnymi rękami robiła, ona, moje dzieciątko kochane!

Rozczulił się, objął ją za głowę i pocałował w zarumienione czoło.

– Tylko tego nie mogłam zrobić, żeby sobie ksiądz nową sutannę kupił.

– A po co mi to! Cicho dziewczyno! Jasiek, a daj no ogieńka, bo fajeczka zgasła – zakrzyczał, zarumieniony jak panna i silnie stukał cybuchem w podłogę.

– Siedźcież sobie panowie, a ja idę do domu szykować obiad. Niechże ksiądz długo ich nie trzyma i jak najprędzej przyprowdzi.

Zaraz poszła.

Wilczek także się pożegnał i poleciał do domu, bo przyszedł po niego młodszy brat.

– To zuch chłopak – szepnął ksiądz po jego wyjściu.

– Doskonała łódzka kanalia.

– Za ostro, panie Karolu. Muszę się przecież ująć za moim wychowankiem. Ja go znam od dziecka. Twarda sztuka, nie da się zjeść w kaszy, dobrodzieju mój kochany. Wola jak stal, przebiegły, sprytny, ale poczciwy, bo swoją rodzinę kocha namiętnie.

– Co mu wcale nie przeszkadza drwić z niej.

– To już natura taka przekorna. Wyśmiewał się kiedyś jeszcze w dzieciństwie z jakiejś biednej chorej kobieciny. Przekropiłem go za to cybuchem i chciałem zmusić, aby ją przeprosił. Gdzie tam! Cybuchy przyjął, ale z przeproszeniem ani rusz. Później się dowiedziałem, że chłopak matce ściągnął kaftan i spódnicę i zaniósł babie. Z własnej woli zrobi wszystko, przez mus – nic. Kpi on ze swoich, co już cić, że nie jest pięknie, ale cóż mu mówić, kiedy wszystkim pomaga. Młodszego brata utrzymuje w gimnazjum, rodzicom pomaga, będzie jeszcze z niego pociecha.

– Dla kryminału – szepnął Karol, którego irytowały te pochwały księżowskie.

– No, to już chodźmy na obiad, bo panna Anna musi się niecierpliwić.

– Chodźmy. Idźcie jegomoście, ja was dogonię, zajrzę tylko do księdza Liberata.

– Nieoceniony ten wasz ksiądz Szymon, nigdy jeszcze podobnego nie spotkał. Ależ to uosobienie poczciwości, dobroci i abnegacji.

– Bo w Kurowie najlepszy interes robić można na poczciwości, a szczególnie jeszcze wtedy, gdy ta poczciwość obleczona jest w sutannę. Spróbuj żyć tutaj ze szwindlów.

– Mówisz jak Moryc – rzekł niechętnie Maks.

– Chłopaki, dobrodzieje moi kochani, a zaczekajcie no. A to smyrgacie jak jelonki, gonie i gonie, ażem się zakasał – wołał ksiądz, pędząc za nimi z sutanną w garści, żeby mu nie przeszkadzała.

Poszli razem, ale milczeli.

Ksiądz miał twarz posmutniałą, wzdychał chwilami i z melancholią spoglądał w przestrzeń.

Widok księdza Liberata omroczył mu duszę smutkiem.

W ganku kurowskiego dworu zastali już Zajączkowskiego, który coś pilno opowiadał panu Adamowi.

– A, jest ten bisurmanin – szepnął ksiądz. – Jak się masz dobrodzieju, mój kochany! a co to, do kościoła nie chodzisz, o swoim proboszczu już zapomniłeś, he?

– Nie zaczynałbyś ksiądz na nowo, bom i tak zły – mruknął szlachcic niechętnie.

– A to ugryź psa w ogon. Widzisz go, będzie mi tu złością parskał jak kot.

– A Panie Jezu Chryste, jeżeli zaczął bije mnie – krzyknął, rozkładając ręce Zajączkowski.

– No cicho, cicho. Daj gęby dobrodzieju mój kochany.

– I chodźcie panowie, bo obiad na stole – zapraszała Anka.

– Nie mogłeś, dobrodzieju, zaczynać od tego, ale z księdza wieczna przekora.

Ucałowali się i w największej zgodzie siedli przy sobie do obiadu, który ciągnął się w milczeniu, bo Anka posmutniała i goniła oczami spojrzenia Karola, milczącego uparcie, Maks przyglądał się obojgu, pan Adam nawet mówił niewiele, a ksiądz z Zajączkowskim zajęci byli jedzeniem.

– Ostatni to raz jemy obiad w Kurowie w takim towarzystwie – zauważył stary dość smutno.  
– Ale możemy jeszcze jadać w Łodzi w takim samym komplecie. Sądzę, że ksiądz proboszcz, ani pan Zajączkowski nie zapomną o nas – powiedział Karol.

– O, nie, nie, przyjedziemy obaj. Poświęcę ci fabrykę, dobrodzieju mój kochany, bo kto z Bogiem, z tym Bóg, a potem dam wam ślub, a potem przecież nie kto inny będzie wam dzieciątko chrzczył, tylko ja. O, Anka uciekła, wstydzi się, a radaby, żeby to jak najprędzej. Anka, Anusiu – wołał rozbawiony.

– Nie wstydzę mi ksiądz dziewczyny.

– Mój dobrodzieju kochany, panny się takich rzeczy tyle wstydzą, co koziołeczek w kapuście. Jasiek a nałóż no fajeczkę.

– Panie Korolu, może pan przyjdzie do ganku, bo tam czeka Socha i koniecznie chce się z panem widzieć.

– Socha? Czy to ten protegowany pani, którego umieściłem u Bucholca.

– Tak, przyszedł z żoną.

– Anka, czemu to tak wielkie rumieńce? – zapytał, idąc z nią do ganku.

– Niedobry – szepnęła, odwracając głowę, ale ją objął ramieniem i zapytał szeptem:

– Bardzo niedobry? no, powiedz Anka, bardzo niedobry?

– Bardzo niedobry, bardzo niegodziwy i bardzo...

– I co bardzo? – pytał, przechylając jej głowę i całując w przymknięte oczy.

– I bardzo kochany – szepnęła, wysuwając mu się z objęć i weszła na ganek, przed którym stali Sohowie, ale tak zmienieni, że nie poznał ich na razie.

Socha zamiast białej kapoty miał czarny surdut, pokapany woskiem na połach, czarne za krótkie spodnie, wyciągnięte na cholewy, czapkę z daszkiem, gumowy kołnierzyk, który mu zjeżdżał na kark i odsłaniał brudną szyję.

Zapusił brodę, która mu niby ostra szczecinowa szczotka pokrywała szczęki i łączyła się przy uszach z krótko obciętymi włosami, wysmarowanymi pomadą.

Z żółtej, pomiętej i zmizerowanej twarzy patrzyły dawne, niebieskie, pocziwe oczy.

Pochylił się również po dawnemu do kolan Karola.

– Ledwie was poznał, wyglądacie jak fabrykant.

– I... ściarachał się ino człowiek między ciarachami i tyła.

– Robicie wciąż u Bucholca?

– A robi, wielmożny dyrektorze, robi...

– Cicho kobito, ja rzeknę – przerwał jej z powagą. – Powiadali w miasteczku Łodzi kolegi, co wielmożny dziedzic otwiera fabrykę, tośwa z żuną tak wykalkulowali...

– Coby nas wielmożny dyrektur, a nasz dziedzic kochany wziun do siebie, bo zawždy...

– Cicho żuono, bo zawždy milej robić u swojaka. Jo robotę znom i przy parówce i w falbierni i czy w lapryturze, ale jakby dziedzic potrzebował do kuni, to dopraszałbym się łaski pańskiej, bo mi do bydłat ckno.

– Z kuniami się zna, co i wielmożna paninka zaświadczyć może, bo bez tyle...

– Zawrzej gembe – burknął – bo bez tyle roków człowiek się zwzyczaił do kunisków, to mu tera przez nich nijak.

– I nie szpiluje mu fabrykanckie życie, bo bez te fetory...

– Bo bez te fetory, to mam bolenie w piersiach i ciągiem mi odmiata i jak nieraz zamroczy, to jakby me kto cepem zdzielił w łeb. Wielmożny dziedzicu nasz kochany – zawołał rozrzewniony, obejmując go za nogi.

– Sirotyśmy bidne! Niechta i paninka wstawi się za bidnemi – szeptała przez łyzy kobieta i całowała ich po rękach i obejmowała go za nogi.

– No, dobrze, przyjdźcie na święty Jan, to się rozmówimy. Przyjmę was do koni.

Zaczęli jeszcze raz dziękować z uniesieniem.

– Jak oni się zmienili! – szepnęła Anka, przyglądając się Sochowej, bo kobieta zrzuciła wełniak i cały strój wiejski.

Miała na sobie niebieską bawełnianą suknię, czerwony stanik do figury, przez który jej niefortunny korpus zdawał się przelewać, mosiężna broszka pod szyją, żółta chusteczka na głowie, zawiązana pod brodę i duża ruda parasolka w ręku.

– Trzy czy cztery miesiące i Łódź ich przerobiła na innych ludzi.

– Nie, panie Karolu. Łódź ich tylko przebrała w inną garderobę. Dać im dzisiaj z dziesięć morgów gruntu, to za tydzień najdalej ani śladu w nich nie pozostanie łódzkiego życia.

Wrócili do pokoju stołowego akurat na kłótnię, jaka wybuchnęła pomiędzy księdzem Szymonem a panem Adamem, który bił nogą w stopień fotelu i krzyczał:

– Görgöy zdrajca! zdrajca od paznokcia do łysiny! Łajdak, pieski syn, psubrat.

– A ja ci mówię, dobrodzieju mój kochany, że nie zdrajca, tylko człowiek dalej widzący niż rurę swojej strzelby. On przecież uratował Węgry.

– I sprzedał po judaszowsku.

– Te, te, te! u ciebie rozsądni zawsze są zdrajcami i Judaszami. Co mu pozostawało, jak nie ocalić resztę?

– Bić się do ostatniego tchu, do ostatniego żołnierza.

– Już was nie było, boście przedtem uciekli! Jasiiek, a daj no ogieńka smyku, bo mi fajeczka zgasła.

– Co? co? Myśmy uciekli? Na rany Chrystusowe, co ksiądz mówi! Myśmy uciekli, kiedy, my? – krzyczał, unosząc się w fotelu i twarz mu się rozpalila strasznym oburzeniem, oczy ciskały pioruny, głos mu chrypnął, zęby szczykały i gdy nieco się uspokoił, tak drżał cały, że nie mógł pić kawy, bo mu się ręce trzęsły i kawa chlapała na surdut i na gors.

Karol wyszedł z Maksymem pakować się do wyjazdu, a oni kłócili się dalej całą pasją zawziętości.

Zajączkowski pomagał panu Adamowi i od czasu do czasu uderzał pięścią w stół, zrywał się z krzesła, szukał czapki, biegał po pokoju i siadał znowu, ale ksiądz się nie dał, mówił coraz ciszej i coraz częściej wołał na Jaśka o ogień i coraz częściej uderzał cybuchem w podłogę, był to znak, że się zapalał.

Przerwał im rozprawę Karczmarek, który szurgał nogami w ganku i głośno nos wycierał a wszedłszy do pokoju, bat postawił w kącie, zatarł ręce i witał się poważnie ze wszystkimi.

– Spóźnił się pan na obiad, to chociaż kawy pan się napije z nami.

– Dziękuję dziedzicowi. Jadło się już obiad, ale co do kawy, to się napić nie zawadzi.

Usiadł obok pana Adama, spoconą twarz wytarł połą surduta, a potem dopiero jął się chłodzić fularową chustką.

– Gorąc jest rzetelny, ale burza będzie, bo się bydło gzi na pastwiskach. Dziękuję pani, a gorąca?

– O, bardzo, prawie wrzątek – odpowiedziała Anka, podsuwając mu kawę i cukierniczkę.

– Bo kawa zimna warta grosz, albo patyk złamany.

– Widzę, że pan się zna na kawie.

– I... przecież się cięgiem chlapie to paskudztwo! Do interesu, do gadania, to nie ma jak czarna kawa, a jeszcze do tego kieliszek koniaku, to już całe wesele.

Anka przyniosła koniak.

Karczmarek nalał pół filiżanki kawy, a resztę dopełnił koniakiem, zmieszał, pogryzał cukrem i popijał wolno, rozglądając się równocześnie po obecnych.

– Dzień dobry, nie myślałem, że pana spotkam u nas – zawołał Karol, wchodząc do pokoju.

– Znasz pana Karczmarka? – zapytał pan Adam.

– Przecież pan Karczmarz dostawia nam cegłę do budowy fabryki. Mówił mi ojciec o pańskich zamiarach na nasz Kurów, ale że wymienił inne nazwisko, nie domyślałem się, że to pan.

– Bo to jest tak, że na Łódź to ja mam inne nazwisko, a na wieś też inne – tłumaczył, uśmiechając się chytrze. – Ludzie są głupie, bo najpierwej patrzą na obleczenie drugiego człowieka i na przezwisko. Powiadają, że jak się zwał, tak się zwał, aby się dobrze miał, ale to nieprawda. Jak się w Łodzi nazywałem po staremu, to byle parch, albo Szwab, albo inny ciarach powiedział: Karczmarek! chłopie, chodź no tutaj, a jak się przezwałem po szlachecku, to mi mówią: Panie Karczmarski, może pan będzie łaskaw! Po co mają mną pomiatać te parobki niemieckie, kiedy ja sroce spod ogona nie uciekłem i jestem gospodarski syn z dziada pradziada i kiedy moi już gospodarzyli, to te różne Niemcy jeszcze po lasach na czworakach chodziły i surowe kartofle jak świniaki jadały.

– Brawo, doskonale panie Karczmarek – wołał Karol, śmiejąc się.

– Prawdę mówię, bo przecież te łódzkie Müllery, Szulce, to taka sielna szlachta, że jakby przyszło co do czego, to mógłby im być królem Karczmarek i jeszcze by dla nich był honor.

Dolał sobie kawy i koniaku i chciał dalej mówić, ale pan Adam dojrzał cień niezadowolenia na twarzy Maksa i rozmowę skrzył na tor inny, zapytując:

– Cegła idzie w tym roku dobrze?

– Nietęgo. Ale mi się widzi, że niedługo to zrobi się taki rwetes w Łodzi z budowaniem, jakiego nigdy jeszcze nie było.

– Dlaczego? Wszystko śpi, tyle bankructw jak nigdy, wiele fabryk stoi, a reszta robi połowę ludzi. Jeszcze jeden taki sezon, a pół Łodzi klapnie.

– A te Żydki, co z Cesarstwa przyjechały, to one nie potrzebują robić geszeftu, co? Ja już widziałem, że one się coś kręcą po mieście, oglądają place i szukają cegielni. Zobacz pan, że robi się ruch. Dziesięć lat temu było tak samo. A cóż, że bez jedną zimę w Łodzi cicho, to i wół jak się napracuje, to leży potem i odpoczywa i ino rusza gembą, a rusza. Mówiłby kto, że zdycha, a juźci, niech no odpocznie, to potem tak ciągnie, jaże się zatyka.

– Dawno pan prowadzi cegielnię? – zagadnął Karol.

– Sześć lat bez mała.

– A przedtem? – zapytała z uśmiechem Anka, bo Karczmarek częstował cygarami.

– Palcie panowie, niezgorsze. Mam juchę Żydka, co mi przynosi szwarcowane.

Obciął ostrymi zębami koniec cygara, zapalił uważnie i dopiero odpowiedział:

– Przedtem panienko, to ja byłem głupim chłopem na półwłóczku. Miałem pół piasku i pół gliny szczerzej. W suchy rok to mi z piasku wywiało, a na glinie spaliło; a w mokry na glinie zgniło, a na piasku tyż nic nie było. Taką gospodarę prowadziłem, że bydłatka jadły poszycie z obory, a człek marł z głodu. Głupi wtedy byłem, przyznaję się, bo dlaczego miałem być mądry? Abo mnie to uczyli, abo mi miał kto poradzić. Mój dziedzic taki był tłusty w rozum jaże go Niemcy zjadły, to i chłopu go nie użyczył. Więc biedowałem jak ojciec i dziadowie, jak Pan Bóg chłopskiemu narodowi przykazał. W Łodzi stawiali fabryki, niektóre komorniki i mniejsi gospodarze chodzili na robotę, furmanili – ja się nie ruszałem. Łódź była jeszcze daleko ode wsi. A że tu jednego dnia sprzed chałupy zobaczyłem komin jeden, bez rok widać ich było pięć, Łódź szła do wsi. Jak pamiętam, to z początku Łódź była o cztery wiorsty, potem zrobiło się ino trzy, a teraz nie ma i wiorsty. Łódź szła do wsi, ale i bida miała dłuższe nogi i chwyciła mnie tak, że już myślałem: sprzedam i wyniosę się dalej. Bałem się ino trochę i jeszcze czekałem. Razu jednego spotykam kuma z Chojnów, wiózł fureczkę piasku.

– A gdzie to wieziecie?

– A do miasta.

– A po co?

– Sprzedać.

– A co to warto?

– Rubla, jak trafi na państwo to więcej, a jak na Żydów mniej.

Poszedłem z nim. Wziął półtora rubla. Jak to zobaczyłem, to mi się tak rozwidniało, jakby mi kto w łeb uczoną książkę wpakował.

Miałem górkę za chałupą, niczego była; miała cztery morgi, ziemia galanta, bo ją skowronki nawoziły od wieków i psy się na niej schodziły po sąsiedzku każdej wiosny. Przyleciałem do domu, narychtowałem wóz i na góreczkę szukać piasku. Był jucha kiej złoto i paradniej mu na pańskich schodach niż pod zbożem.

Pojechałem z pierwszą furą; Żydy me zbiły na Starym Mieście, piaskarze nasze tyż, policjant i owszem na ulicy, alem sprzedał. Potem tom ino zrzynał tę górkę i fort wywoziłem do Łodzi bez całe dwa lata, dzień w dzień, a w trzecim jeździł i mój chłopak, jeździł i parobek com go przynajął; woziliśmy piasek, a przywoziliśmy co inszego... Z początku to żona chciała me sprać, że ja to gront zapaskudziłem i złe powietrze robię. Juźci, że to nie perfumy. A że to Łódź fort szła ku naszej wsi, to coraz przyjdzie jakiś pluderek, obejrzy moją gospodarkę i powiada: sprzedaj; przychodziły też Żydy i mówią: sprzedaj Karczmarek! Nie sprzedałem, choć w końcu dawały po pięćset rubli za morgę. Zacząłem kalkulować, że w tym coś jest, kiedy one tak drogo chcą płacić. Poszedłem się poradzić do adwokata, co nam działy prowadził. Rzetelny bardzo człowiek, bo mi wprost powiedział:

– Głupiś Karczmarek. że tego nie wiesz, oni chcą twoją glinę kupić. Postaw cegielnię, a jak nie masz pieniędzy, to do spółki ze mną.

Postawiłem sam, nająłem strycharza, sam pomagałem i żona, i dzieci, robiliśmy jak woły i grosz szedł. Przyjechał raz adwokat, obejrzał i powiada:

– Głupiś Karczmarek, zameczysz siebie i dzieci i na tym co najwyżej zarobisz tysiąc rubli na rok. Co trzeba robić? Postawić parową cegielnię.

Myślałem bez całą zimę, potem zrobiliśmy spółkę i jakoś tam idzie.

– A cóż się stało z góreczką? – zapytała Anka ciekawie.

– Zgolona do czysta, już ją tam ludzie na podszwach roznieśli po świecie.

– I mieszka pan jeszcze na wsi?

– Trochę przy cegielni, a trochę w mieście, bom sobie tam postawił chałupę, żeby żona miała gdzie mieszkać z dziećmi, które chodzą do szkoły.

– Ładna chałupka! trzy piętra frontu i cztery oficyny – zauważył Karol.

– I... postawię sobie jeszcze jedną, bo mam plac i mieszkania będzie mi potrzeba dla zięcia.

– A co panu po Kurowie?

– Syna najstarszego żenię, a że chłopak we szkołach nie był, do handlu też się nie zda, ani na fabrykanta, tobym mu chciał kupić co niewielkiego i niedaleko, aby go mieć pod bokiem.

– Ja muszę zaraz jechać, ale niech się pan z ojcem umówi o wszystko, zgódźcie się na cenę i przyjedzie pan do Łodzi, to zrobimy akt. No, Maks, czas nam w drogę.

– Odprowadzimy was kawałek, przez pole do szosy.

Pożegnanie nie zabrało wiele czasu, wszyscy prócz Karczmarka, poszli przez ogród i szli wąską polną drogą, na której spod trawy gdzieniegdzie znać było wyżłobioną koleję wozów.

Przodem szła Anka, Karol i Maks; za nim Zajączkowski z księdzem, a w samym końcu jechał pan Adam, zostawał w tyle, bo wózek się opierał na wybojach i kretowiskach, aż Waluś kłął co chwila.

– Ażeby cię wciornoście! a to utyka kiej świnia.

Przedwieczór już był nad ziemią, rosa obfita okiścią pokrywała zboża i trawy i wielka cichość płynęła nad polami, szemrzącymi dziwnie przenikającym szelestem żytnich kiści, graniem świerszczyków i słodkim, szklanym brzęczeniem komarów, co całą chmurą kłębiły się nad głowami idących, a czasem przepiórki z głębi zielonych puszczy żytnich wołały: Pójdźcie żać! Pójdźcie żać! Albo jaskółka ze świergotem przeleciała w zygzakach, albo z owsów czarniawych nakropionych żółtymi ognichami, wyrwał się skowronek, bił prosto ku niebu, trzepał skrzydełkami i dzwonił pieśnią, lub pszczoły z brzękiem wracały do roboty.

– Dobrodzieju mój kochany, ale ten Karczmarek to dziwny człowiek.

– Jest takich w Łodzi więcej. Wie ksiądz, że on się nauczył czytać i pisać dopiero parę lat temu.

– Ale po co chamowi majątek, we łbie mu się przewróci i będzie myślał, że wszystkim jest równy.

– Albo nie jest równy? Mój Zajączkowski, mój dobrodzieju kochany, a czymże to lepsi jesteśmy od niego?

– Ksiądz niedługo każesz nam chamów całować po rękach.

– Jak tego będą warci, pierwszy to zrobię, dobrodzieju mój kochany, Jasiek, ognia.

Ale że Jaśka nie było, zapalił mu fajkę Maks, który do nich się przyłączył i słuchał nie słysząc, bo patrzył na Ankę idącą przodem z Karolem i łowił chciwie ich rozmowę, prowadzoną półgłosem.

– Nie zapomni pan o Wysockiej? – prosiła cicho.

– Jutro pójde do niej. Czy ona naprawdę jest naszą kuzynką.

– Jest moją, ale myślę, że wkrótce będzie naszą.

Szli czas jakiś w milczeniu.

Ksiądz sprzeczał się z Zajączkowskim, a pan Adam śpiewał, aż się rozlegało po polach.

Hej z góry, z góry, jadą Mazury,

Puk puk w okieneczko

Otwórz, otwórz panienczko

Koniom wody daj.

– Prędko pan przyjedzie?

– Nie wiem. Mam tyle roboty z fabryką, że nie wiem, co pierwszej robić.

– Mało ma pan dla mnie czasu teraz, bardzo mało... – dodała ciszej i smutniej, ciągnąc dłonią po młodych rdzawych kłosach, co rozkołysane kłaniały się jej do nóg i obrzucały rosą.

– Proszę się spytać Maksa, czy ja dla siebie mam choćby godzinę czasu dziennie. Od piątej rano na nogach do późnej nocy. Jaki z ciebie dzieciak, Anko, no spojrzysz na mnie.

Spojrzała, ale w oczach miała smutek i usta drżały jej nerwowo.

– Przyjadę za dwa tygodnie, dobrze? – powiedział spieszenie, aby ją pocieszyć.

– Dobrze, dziękuję, ale jeśli ma na tym cierpieć fabryka, to proszę nie przyjeżdżać, potrafię znieść i tęsknotę, przecież to nie po raz pierwszy.

– Ale ostatni, Anka, Ten miesiąc zleci prędko, a potem...

– A potem?

– Potem będziemy już razem; boi się tego moje złote dziecko, co? – szepnął czule.

– Nie, nie! bo przecież to z tobą, z panem – poprawiła się rumieniąc i uśmiechała się tak słodko że miał ją ochotę pocałować.

Zamilkła i rozmarzonymi, zapatrzonymi w siebie oczami błędziła po zielonej płachcie zbóż, co niby wielki rozlew wody kołysany wiatrem, marszczyło się w płowe koliska, w czarniawe gurby, kładło się nad ziemią, powstawało, leciało w tył do ugorów, odbijało się o nie i znowu z chrzęstem uderzało w dróżkę, jakby chcąc się przelać przez tę tamę i rozlać po długim łanie pszenicy niskiej jeszcze i tak trzepiącej piórkami błyszczącymi, że cały łan był podobny do wielkiego stawu, migocącego miliardami złotych łuszczeń.

– Waluś, ruszaj się bestio! – zakrzyknął pan Adam, bo dochodzili już do szosy.

– Adyc się rucham, jaże mi mokro.

– To już? – szepnęła Anka, spostrzegłszy konie czekające na szosie.

– Szkoda, że to już, jest tak prędko – powiedział Maks.

– Prawda, jak tu pięknie? patrz no dobrodzieju mój kochany, jak to Pan Bóg umalował wszystko śliczniutko, o! – wołał ksiądz, wskazując na pola, leżące ku zachodowi.

Słońce czerwone, ogromne, zsuwało się nad lasy po perłowych przestrzeniach i rozsiewało po zbożach czerwonawą mgłę o fioletowych obrzeżach.

Wody stawów leżących niżej w łąkach paliły się jak tarcze miedziane mocno wypolerowane, a zygzakowata linia rzeczki ciągnącej się przez łąki ku wschodowi, odcinała się od traw, jak sina, jedwabna wstęga, poplamiona gdzieniegdzie czerwonawym złotem.

– Bardzo pięknie i żałuję, że nie mamy czasu przyglądać się dłużej.

– Prawda. No jedźcie z Bogiem! A dajcież no gęby chłopaki. Panie Maks, panie Baum, a tośmy cię dobrodzieju mój kochany, polubili wszyscy, jak swojego.

– Bardzo mnie to cieszy, bo przyznam się szczerze, że miłszego towarzystwa nie spotkałem jeszcze w życiu i serdecznie dziękuję za gościnność i proszę, nie zapominajcie o mnie, Maks Baum!...

– Bardzo solidna firma, daje towar z sześciomiesięcznym kredytem – zawołał Karol ze śmiechem, żegnając się ze wszystkimi.

Maks zamilkł, był taki zły, że Ankę pocałował w obie ręce z dziesięć razy, pana Adama w oba policzki, a księdza w rękę, co tego ostatniego tak rozczuliło, że objął go za szyję, pocałował w głowę i przeżegnał go na drogę.

Ruszyli z miejsca kłusem.

Anka stanęła na kopcu i powiewała za nimi chustką.

Pan Adam śpiewał marsza.

Maks długo przypatrywał się jasnym konturom Anki i gdy zniknęły mu w oddaleniu, usiadł i gniewnie powiedział:

– Ty zawsze musisz mnie ośmieszyć.

– Aby cię otrzeźwić. Nie lubię jak się upijają moim winem i do tego w moim własnym domu. Zamilkli obaj.

## II

- Blumenfeld, graliście w niedzielę u Malinowskiego?
  - Graliśmy, zaraz powiem – szepnął, wstając do okienka załatwić interesanta.
- Stach Wilczek przeciągnął się ociężale i poszedł wyjrzeć na ulicę.

Piotrkowska huczała zwykłym codziennym ruchem, olbrzymie platformy towarowe tak biły kołami w bruk, że w kantorze szczękały ustawicznie szklane ścianki przepierzenia, osłonięte mosiężną siatką i poprzecinane okienkami, do których cisnęli się interesanci.

Przyglądał się bezmyślnie olbrzymim rusztowaniom budującego się domu naprzeciwko, to gęstej masie ludzi, zatłaczających trotuary i powrócił do swojego stolika ślizgając się oczami po kilkunastu głowach wciśniętych pomiędzy ścianę a szklane przepierzenie i porozgradzanych jeszcze pomiędzy sobą niskimi przegrodami.

– Coście grali? – zapytał znowu Blumenfelda, który przegarniał chudą, nerwową ręką jasnozłociste włosy, a niebieskimi oczami śledził Żydka, który na środku kantoru obracał się na wszystkie strony.

– Na prawo kasa! – zawołał, wychylając się przez okienko.

– Graliśmy kawałek sonaty Cis-mol Beethovena. Szło nam tak dobrze jak nigdy. Malinowski był...

– Blumenfeld, konto Eichner et Peretz? – zawołano z drugiego końca kantoru.

– Cztery, siedemnaście, pięć. Zajęte do sześciu tysięcy – odpowiedział szybko, przerzucając skorowidz.

– Potem robiliśmy próbę z tego, com skończył niedawno.

– Co to jest? Polka, walczyk.

– Dajże spokój z walczykami i polkami. Nie tworzę repertuaru dla katarynek i tanckrenchenów! – zawołał z pewnym oburzeniem.

– Więc cóż? operę? – pytał się ironicznie Stach.

– Nie, nie. Coś, co ma pewne formalne podobieństwo do sonaty, ale nie jest sonatą. Pierwsza część to wrażenie miasta, które milknie i z wolna usypia. Rozumiesz, wielka cisza przesycona łagodnymi szmerami, które robią skrzypce, a na tym tle flet zaczyna przejmującą pieśń, jakby jęk drzew marznących, ludzi bezdomnych, maszyn spracowanych, zwierząt, które jutro będą zabite.

Zaczął nucić bardzo cicho.

– Blumenfeld, do telefonu wołają.

Przerwał i pobiegł natychmiast, a gdy powrócił nie mógł dokończyć, bo musiał załatwić dwóch interesantów czekających przed okienkiem.

Potem zapisywał w wielkiej księdze, ale bezwiednie przebierał palcami, wystukując melodie.

– Długoś pisał?

– Blisko rok. Przyjdź w niedzielę, to usłyszysz, wszystkie trzy części. Dałbym dwa lata życia, żebym mógł usłyszeć to własne dzieło wykonane przez dobrą orkiestrę, dałbym pół życia – dodał po chwili, oparł się o stół i zasłuchany w siebie, wiódł martwym, cofniętym w tył wzrokiem po głowach kolegów, czerniejących się w otworach okienek.

Wilczek zaczął pisać, a w kantorze zaszemrały rozmowy, leciały dowcipy z okienka do okienka, czasem wybuch śmiechu, który milknął, ilekroć trzasnęły drzwi frontowe, zadzwonił telefon, albo brzęczały szklanki, bo pito herbatę, gotującą się w rogu kantoru nad gazem.

– Sztil<sup>14</sup>, panowie stary przyjechał! – rozległ się ostrzegający głos.

Umilkli natychmiast wszyscy, spoglądając na Groszlicka, który wysiadł z powozu i stał przed kantorem, rozmawiając z jakimś Żydkiem.

<sup>14</sup> *sztil* (z niem. *still*) – cicho. [przypis edytorski]

– Kugelman, prosz dzisiaj o urlop, stary w dobrym humorze, śmieje się – szepnął Stach do sąsiedniego przedziału.

– Mówiłem wczoraj, powiedział, że po bilansie.

– Panie Steiman, niech pan przypomni dzisiaj o gratyfikacji.

– Żeby on zdechnął<sup>15</sup> jak ten czarny psa! – zaklął ktoś za kratą.

Zaczęli się śmiać dyskretnie z tego „czarnego psa”, ale umilkli natychmiast, bo Groszlick wszedł.

Ze wszystkich okienek wychyliły się kłaniające z pokorą głowy i wielka cisza przerywana tylko syczeniem wody na gazie, zapanowała w kantorze.

Woźny odebrał kapelusz i z namaszczeniem ściągnął palto z bankiera, który zatarł ręce i gładząc palcem kruczocharne bokobrody, odezwał się:

– Wiecie, panowie, straszny wypadek się zrobił.

– Broń Boże, nie panu prezesowi? – ozwał się jakiś głos lękliwy.

– Co się stało?! – zawołali wszyscy, udając zaniepokojenie.

– Co się stało? Stało się wielkie nieszczęście, bardzo wielkie nieszczęście – powtórzył płaczącym głosem.

– Straciliśmy co na giełdzie? – zapytał ciszej prokurent firmy, wychodząc zza przepierzenia.

– Spalił się kto niezaasekurowany?

– Umarł kto panu prezesowi?

– Ukradli może te śliczne rysaki<sup>16</sup> amerykańskie.

– Nie mów pan głupich rzeczy, panie Palman – rzekł z powagą.

– Ale co się stało, panie prezesie? bo mnie się już słabo robi – błagał Steiman.

– No, zleciał!...

– Kto zleciał? Skąd? Gdzie? Kiedy? – leciały strwożone zapytania.

– No, zleciał z pierwszego piętra klucz i wybił sobie zębów... Ha, ha, ha! – śmiał się serdecznie.

– Co za witz<sup>17</sup>, jaki witz! – wołali, zanosząc się od śmiechu, chociaż słyszeli ten głupi dowcip po dziesięć razy na sezon.

– Błazen! – mruknął Stach Wilczek.

– Może sobie pozwolić, stać go i na to! – odpowiedział szeptem Blumenfeld.

Groszlick poszedł do swojego gabinetu, położonego za kantorem od podwórza.

Pokój umeblowany był z wielkim przepychem.

Czerwone obicie ścian ze złotymi lamperiami harmonizowało z mahoniowymi meblami suto ozdobionymi brązami.

Wielkie weneckie okno przysłonięte ciężkimi draperiami, wychodziło na długie podwórze, otoczone olbrzymimi oficynami i zamknięte czteropiętrowym gmachem fabrycznym.

Groszlick patrzył chwilę na transmisje przerzucone z jednej strony podwórza na drugą i biegnące nieustannie i na długą linię kobiet i mężczyzn tłoczących się do jednych z drzwi, z wielkimi tobołami wełnianych chustek na plecach. Byli to tkacze, którzy brali przędzę z fabryki i tkali chustki u siebie, na ręcznych warsztatach.

Potem otworzył wielką kasę wmurowaną w ścianę, przejrzał jej zawartość, wydobył pliki papierów na biurko pod okno, które przysłonił żółtawym ekranem, usiadł i zadzwonił.

Natychmiast zjawił się prokurent firmy z teką pełną papierów.

– Cóż słyhać, panie Steiman?

– Prawie nic. Palił się w nocy A. Weber.

---

<sup>15</sup> zdechnął – dziś popr.: zdechl. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> rysaki – a. klusaki, konie o bardzo szybkim klusie, używane gł. do wyścigów w zaprzęgu; gł. rasy: orłowskie, amerykańskie i francuskie. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> witz (z niem.) – żart. [przypis edytorski]

– Znane. Cóż więcej? – zapytywał, przeglądając kolejno i bardzo uważnie papiery.  
– Przepraszam pana prezesa, ale już nie wiem nic więcej – tłumaczył się pokornie.  
– Mało pan wiesz – mruknął bankier, odsuwając papiery i naciskając guzik elektryczny dwa razy.

Zjawił się drugi urzędnik, główny inkasent.

– Cóż nowego, panie Szulc?

– Zabili dwóch robotników na Bałutach, jeden miał przecięty cały brzuch.

– Co mi to szkodzi, tego towaru nigdy nie braknie. Co więcej?

– Mówili rano, że Pinkus Meyersohn chwiać się zaczyna.

– Jemu się chce położyć na dwadzieścia pięć procent. Przynieś pan jego conto.

Szulc spiesznie przyniósł.

Bankier przejrzał uważnie i szepnął ze śmiechem:

– Niech się kładzie zdrów, nam to nie zaszkodzi. Ja od pół roku czułem, że on się męczy, że on ma ochotę usiąść.

– Prawda, sam słyszałem jak pan prezes mówił do Steimana.

– Ja mam nos, ja zawsze mówię, że lepiej się raz dobrze wyczesać, niż dwadzieścia razy podrapać. Ha, ha, ha! – roześmiał się wesoło, tak mu się podobał własny koncept.

– Cóż więcej?

– Nic, mnie się tylko zdaje, że pan prezes trochę źle wygląda dzisiaj.

– Pan jesteś tak głupi, że ja panu muszę zmniejszyć pensję! – zawołał zirytowany i zaraz po wyjściu Szulca oglądał twarz bardzo szczegółowo w lustrze, obszcypywał delikatnie pulchne policzki i długo przyglądał się językowi.

– Niewyraźny, muszę się poradzić doktora – myślał, dzwoniąc trzy razy.

Wszedł Blumenfeld z paczką korespondencji i rachunków.

– Wiktor Hugo umarł wczoraj – rzekł nieśmiało muzyk i zaczął odczytywać głośno jakieś sprawozdanie.

– Dużo zostawił? – zapytał bankier w przerwie oglądając sobie paznokcie.

– Sześć milionów franków.

– Ładny grosz. W czym?

– W trzyprocentowej rencie francuskiej i w Suezach.

– Doskonały papier. W czym robił?

– W literaturze, bo...

– Co? W literaturze?... – zapytał zdziwiony, podnosząc oczy na niego i gładząc faworyty.

– Tak, bo to był wielki poeta, wielki pisarz.

– Niemiec?

– Francuz.

– Prawda, ja zapomniałem, przecie to jego ta powieść *Ogniem i mieczem*. Mnie Mery ładne kawałki z niej czytała.

Blumenfeld nie przeczył, przeczytał listy, wynotował odpowiedzi, pozbierał papiery i chciał odchodzić, ale bankier zatrzymał go skinieniem.

– Pan podobno gra na fortepianie, panie Blumenfeld?

– Skończyłem konserwatorium w Lipsku i klasę fortepianową u Leszetyckiego w Wiedniu.

– Bardzo mi przyjemnie. Ja bardzo lubię muzykę, a szczególnie te śliczne kawałki, jakie śpiewała Patti w Paryżu. Dobrze pamiętam, o... – zaczął nucić dyskretnie jakąś uliczną arietkę operetkową. – Ja mam dobre ucho, nieprawda?

– Istotnie, zadziwiająco – odpowiedział Blumenfeld, przypatrując się olbrzymim, sinawym uszom bankiera.

– Mnie przyszła myśl, żebyś pan dawał lekcje mojej Mery. Ona dobrze gra i to nie będą lekcje, bo pan usiądzie sobie przy niej i będzie tylko patrzeć, żeby się nie omyliła. Co pan bierzesz za godzinę?

– Daję teraz lekcje u Müllerów, płaci mi trzy ruble.

– Trzy ruble! Ale pan chodzisz na koniec miasta, siedzisz pan w chałupie, no i rozmawiasz pan z Müllerem, a to cham; co to za przyjemność mieć do czynienia z takimi ludźmi. A u mnie pan będziesz siedział w pałacu.

– I tam w pałacu także – szepnął od niechcienia Blumenfeld.

– Mniejsza z tym, zgodzimy się, bo jak Bóg Kubie, tak Kuba Bogu – zakończył.

– Kiedy mam przyjść?

– Przyjdź pan dzisiaj po południu.

– Dobrze, panie prezesie.

– Poproś pan do mnie Szteimana.

– Dobrze panie prezesie.

Szteiman przyszedł zaraz i z niepokojem czekał rozkazów.

Grosglick wsadził ręce w kieszenie, spacerował po pokoju, gładził długo bokobrody i dopiero w końcu rzekł uroczyście:

– Ja chciałem panu powiedzieć, że mnie denerwuje ten ciągły brzęk szklanek w kantorze i to ciągle syczenie gazu.

– Panie prezesie, przychodzimy tak wcześnie, że wszyscy śniadanie jadają w kantorze.

– Na gazie gotują herbatę. Kto gaz płaci? Ja płacę. Ja płacę gaz na to, żebyście panowie mogli cały dzień pić herbatę! Gdzie tu jest sens! Od dzisiaj będziecie panowie płacili.

– I pan prezes pija przecież...

– Pijam, nawet zaraz się napiję. Antoni, daj mi herbaty – zawołał głośno do przedpokoju, z którego było wyjście do bramy. – Mam myśl. Pijecie herbatę, pijcie i płacicie za gaz, na tyle ludzi to nie drogo wyjdzie, a mnie dawajcie herbatę w procencie, bo przecież urzędnienia gazowe są moje, w moim kantorze i pijacie w godzinach zajęcia.

– Dobrze, powiem kolegom.

– Ja to robię dla panów dobra, no bo teraz to oni się wstydzą pić herbatę, ich gryzie sumienie, że to na moim gazie, a jak każdy zapłaci gaz, to on będzie śmiały, on będzie mi mógł patrzeć prosto w oczy. To jest bardzo moralne, panie Szteiman, bardzo.

– Miałem jeszcze prośbę do pana prezesa w imieniu kolegów.

– Mów pan, ale prędko, mam mało czasu.

– Pan prezes obiecał dać gratyfikację przy zamknięciu półrocza.

– A bilans jak stoi?

– Robią go w godzinach pozabiurowych, będzie na czas z pewnością.

– Panie Szteiman – rzekł poufale bankier, wstając. – Usiądź pan trochę, pan jesteś zmęczony.

– Dziękuję panu prezesowi, muszę zaraz iść, bo mam dużo roboty.

– Robota nie gęś, ona się nie wytopi. Siądź pan, ja panu co powiem. Czy oni bardzo czekają na gratyfikację?

– Zasłużyli na nią uczciwie.

– To ja wiem, pan mi tego nie potrzebujesz powiadać.

– Przepraszam pana prezesa, bardzo przepraszam – szeptał unizając się w pokorze i onieśmieleniu.

– Pogadamy po przyjacielsku. Co ja mógłbym im dać?

– To już pan prezes sam zadecyduje.

– Więc przypuścimy, że dałbym im tysiąc rubli, więcej nie mógłbym, rok zamkniemy z grubą stratą, ja to czuję.

– Mamy dotychczas zdwojony obrót w porównaniu do roku zeszłego.

– Cicho pan bądź, ja mówię, że ze stratą, to inaczej być nie może. Więc weźmy tę okrągłą cyfrę tysięcy rubli. Ile mamy ludzi w kantorze?

– Piętnastu jest nas razem.

– Ile w filii?

– Pięciu.

– To razem dwadzieścia osób. Co każdy może dostać z tych pieniędzy? Jakies trzydzieści do pięćdziesięciu rubli, bo trzeba odtrącić procent na kary. Teraz ja się pana zapytam, co może komu przyjść z takiej marnej sumy? Co ona może komu pomóc?

– Przy takich małych płacach jak u nas, to i te kilkadziesiąt rubli będzie bardzo wielką pomocą.

– Głupi pan jesteś i źle pan liczysz! – zawołał z gniewem i zaczął prędko chodzić po pokoju.

– My pieniądze rzucimy w błoto, panie Szteiman, jak my je rozdamy. Ja panu zaraz powiem, co się z nich zrobi. Pan swoje ulokuje w loterii, bo pan grasz, ja wiem o tym. Perlman kupi sobie nowy garnitur, żeby się spodobać weberkom<sup>18</sup>. Blumenfeld kupi sobie różne głupie kawałki muzyczne. Kugelmann sprawi żonie wiosenny kapelusz. Szulc pójdzie do szansonistek. Wilczek, no, ten jeden nie zmarnuje, on komu pożyczy na dobry procent. A reszta! Wszyscy stracą co do jednego grosza. I ja mam dawać swoje pieniądze na zmarnowanie, ja tego zrobić nie mogę jako dobry obywatel! – zawołał, uderzając się w piersi.

Szteiman uśmiechnął się ironicznie.

Bankier spostrzegł to, usiadł przy biurku i zawołał:

– No, zresztą co to długo gadać, nie chcę dać i nie dam, a za te pieniądze kupię sobie ładny garnitur do stołowego pokoju. Panowie będziecie mieli tę przyjemność mówić na mieście: „Pan Groszlick, nasz szef, ma stołowy garnitur za tysiąc rubli”, to dobrze robi! – zawołał, wybuchając drwiącym śmiechem.

Szteiman utkwiał w nim blade, jakby wygryzione atramentem oczy o czerwonych obwódkach i długo patrzył, aż się bankier poruszył niespokojnie, przeszedł parę razy gabinet i powiedział:

– No, dam gratyfikację, dam, niech wiedzą, że ja umię<sup>19</sup> ocenić pracę.

Zaczął prędko przerzucać w kasie stosy papierów i wyciągnął w końcu paczkę poślizniętych weksli i bacznie je przeglądał.

– Tu jest weksli na tysiąc pięćset rubli, proszę pana.

– Firmy Wasserman i Spółka, to ony<sup>20</sup> akurat warte są cały grosz – mówił Szteiman, oglądając weksle.

– Nic nie wiadomo. Pan wiesz, że firma jest w likwidacji, że oni mogą jeszcze się podnieść i zapłacić sto za sto.

– Żeby oni chcieli zapłacić pięć za sto, ale nie zapłacić ani grosza.

– Masz pan weksle, ja panu życzę, żebyś pan wycisnął z nich sto pięćdziesiąt za sto, sceduję je zaraz na pana.

– Dziękuję panu prezesowi – szepnęła smutnie i cofnął się do wyjścia.

– Zabierze pan swoje weksle.

– Papieru nie brakuje w kantorze.

Zabrał jednak weksle i wyszedł.

Bankier wziął się do roboty i przede wszystkim w książce trzymanej w kasie, przekreślił tytuł gratyfikacja i wpisał u dołu cyfrę 1 500 rs. jako wypłaconą.

Uśmiechnął się po tej operacji długo i z lubością gładził faworyty.

Wsunął się wkrótce do gabinetu bardzo elegancki Żydek, wysoki, szczupły, w złotych binoklach na garbatym nosie, z bródką rudawą w ostry klin przyciętą, z włosami kręcącymi się jak

<sup>18</sup> *weberka* (z niem. *der Weber*: tkacz) – tkaczki. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *umię* – dziś popr.: umiem. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *ony* – dziś: one. [przypis edytorski]

węlna i przedzielonymi przez całą głowę; z niespokojnymi, biegającymi ustawicznie z przedmiotu na przedmiot oczami oliwkowymi; wywinięte mocno wargi popękane i sinawe obcierał ustawicznie językiem i wykrzywił lekceważąco.

Był to Klein, kuzyn bliski bankiera i powiernik zaufany.

Wszedł tak cicho, że bankier nie usłyszał, obiegł pokój oczami, rękawiczki rzucił na fotel, kapelusz na krzesło, a sam usiadł niedbale na otomanie.

– Jak się masz stary? – mruknął, zapalając papierosa.

– Ja się mam dobrze, ale ty mnie Broniek przestraszyłeś, kto tak wchodzi po cichu!

– Nic ci nie zaszkodzi!

– Co słyhać?

– Dużo słyhać, bardzo wiele słyhać. Fiszbini już dzisiaj skończył.

– Niech mu będzie na zdrowie! Co to był Fiszbini? To był muzykant, co grał na dziesięciu instrumentach – głową, łokciami, kolanami, rękami i nogami! Co to za interes? jeden dał dziesiątkę zarobić, a drugi wyrzucił go za drzwi!

– Mówią, że w tym tygodniu potrzebuje się spalić Goldberg – szepnął cicho.

– Takie nieszczęście nie zaszkodzi i najbogatszemu.

– Co słyhać z Motlem?

– Ty o nim nie wspominaj, to łajdak, to złodziej, plajciarz, chce płacić trzydzieści procent.

– I on potrzebuje żyć!

– Ty głupi jesteś, Broniek, ty się nie śmiejesz, kiedy ja tracę ze trzy tysiące rubli.

– Akurat mu tyle potrzeba, żeby się ożenić, ha, ha, ha!

Zaczął się śmiać i spacerując po gabinecie rzucał ciekawe spojrzenia do wnętrza otwartej kasy.

Groszlick podchwycił te spojrzenia, kasę zamknął i zawołał ironicznie:

– Broniek, ty się patrzysz na kasę, jakby ona była twoja narzeczona! Ja ci daję słowo, że ty się z nią nie ożenisz, ty ją nawet nie pocałujesz, ha, ha, ha!

Roześmiał się serdecznie z miny Kleina, który usiadł obok niego i zaczął mu po cichu opowiadać. Groszlick długo słuchał i w końcu rzekł:

– Wiedziałem już o tym. Muszę się z Weltem rozmówić. Panie Blumenfeld, proszę zatelefonować do pana Moryca Welt, że ja go proszę do siebie, że jest bardzo ważny interes! – zawołał przez drzwi do kantoru.

– Broniek, o tym sza! My zjemy Borowieckiego nim się ugotuje!

– Ja ci mówię, że wy go nie zjecie, on ma za sobą...

Nie dokończył, bo wszedł do gabinetu jeden z urzędników.

Był tak pomieszany i zestraszony<sup>21</sup>, że bankier zerwał się z krzesła.

– Panie prezesie, panie prezesie, ten łajdak co on zrobił, ten gałgan Tuszyński, ten!

– Co zrobił? Mów pan ciszej, tutaj nie bóżnica!

– On wczoraj zainkasował czterysta rubli i uciekł. Byłem w jego mieszkaniu, nie ma nic, zabrał rzeczy i w nocy pojechał! Pojechał do Ameryki.

– Aresztować go, okuć w kajdany, wsadzić do kryminału, wysłać na Sybir! – krzyczał bankier, grożąc pięściami.

– Ja to chciałem zrobić, chciałem już depeszować, chciałem dać znać policji, ale że to wszystko będzie kosztować, to potrzebowałem upoważnienia od pana prezesa.

– Niech kosztuje, niech ja stracę cały majątek, a tego złodzieja złapać, niech on zgnije w kryminale za moje czterysta rubli!

– To może zaraz pan prezes każe otworzyć konto na tę sprawę.

– Co to będzie kosztować? – zapytał już spokojniej.

– Ja nie wiem, ale zawsze kilkadziesiąt rubli kosztować musi!

---

<sup>21</sup> zestraszony – dziś popr.: zastraszony a. przestraszony. [przypis edytorski]

– Co, co? Ja mam jeszcze dokładać do tego złodzieja. A niech on zdechnie! Kto go wysłał za inkasem? – zapytał po chwili.

– Ja, ale pan prezes upoważnił mnie do tego – tłumaczył się nieśmiało.

– Pan go wysłałeś – to pan odpowiadasz. Ja nic słuchać nie chcę. Moje czterysta rubli nie mogą przepaść, pan odpowiadasz.

– Panie prezesie, ja jestem biedny człowiek, ja nie jestem nic winien, ja pracuję uczciwie u pana prezesa już dwadzieścia lat, ja mam ośmioro dzieci! Pan prezes mnie upoważnił do wysyłania tego gałgana po pieniądze – jęczał i błagalnymi spojrzeniami włożył się u nóg bankiera.

– Pan odpowiadasz za kasę, pan powinienesz znać ludzi, ja raz jeszcze mówię: pieniądze muszą być. Możesz pan sobie iść! – zawołał groźnie, odwrócił się do niego plecami i dopijał herbatę.

Urzędnik powstał chwilę, wpatrzony osłupiałymi oczyma w szerokie plecy bankiera i w smugę dymu, jaki się wznosił z cygara, leżącego na kancie biurka, westchnął ciężko i wyszedł.

– On myśli, że ja taki głupi, podzielił się z Tuszyńskim, stare kawały.

– Pan Welt! – zameldował woźny.

– Proś, proś! Bronek, idź za tym bałwanem i powiedz, że jeżeli pieniądze nie znajdą się zaraz, to ja go wsadzę do kryminału. Panie Welt, proszę do mnie! – zawołał ujrawszy Moryca, rozmawiającego z Wilczkiem w kantorze.

Moryc przywitał się, przejrzał twarz bankiera i rzucił krótko:

– Prezes telefonował po mnie, a ja również się tutaj wybierałem.

– Interes, co? to załatwimy go prędko, bo ja mam z panem pogadać w pewnej bardzo delikatnej sprawie.

– Interes taki: Adler et Comp. potrzebuje wielkiej partii wełny, zwrócili się do mnie o to. Ja wełnę mam, ale potrzebuję na nią pieniędzy.

– Dam panu pieniędzy, zrobimy do spółki, dobrze?

– A no jak zwykle, zarobimy na tym piętnaście procent.

– Ile panu potrzeba?

– Trzydzieści tysięcy marek, na Lipsk.

– Dobrze, wyślę panu telegraficznie. Kiedy pan pojedzie?

– Dzisiaj w nocy, za tydzień będę z powrotem.

– Interes załatwiony! – zawołał wesoło bankier, odsunął się nieco od biurka, zapalił cygaro i długo przypatrywał się Weltowi, który gryzł gałkę laski, poprawiał binokle i również patrzył badawczo.

– Jakże bawełna poszła? – zapytał pierwszy Groszlick.

– Sprzedaliśmy połowę.

– Wiem, wiem, zarobiliście podobno siedemdziesiąt pięć procent, a cóż z resztą?

– Resztę sami przerobimy.

– Fabryka rośnie?

– Za miesiąc będzie pod dachem, za trzy umontują maszyny, a w październiku puszczamy w ruch.

– Lubię taki pośpiech, to po łódzku, ślicznie! – dodał ciszej i uśmiechał się dyskretnie. – Borowiecki to mądry człowiek, ale...

Zawahał się, uśmiechnął ironicznie i zakrył twarz kłębem dymu.

– Ale?... – podchwycił Moryc ciekawie.

– Ale on lubi za bardzo romanse z mężatkami, to nie wypada na fabrykanta.

– To mu nic nie przeszkadza, a przy tym ożeni się nie długo, bo ma już narzeczoną.

– Narzeczona to nie weksel, to zwyczajny rewers, który można nie zapłacić w terminie, za to nie ogłoszą bankructwa. Ja bardzo lubię Borowieckiego, ja go tak lubię, że gdyby on był nasz, to ja dałbym mu moją Mery, ale...

– Ale – podchwycił znowu Moryc, bo bankier zrobił długą przerwę.

– Ale ja mu muszę zrobić przykrość, co mnie jest tak nieprzyjemne, tak bardzo nieprzyjemne, że muszę pana prosić, aby mnie przed nim wytłumaczył.

– Cóż takiego? – zapytał Welt niespokojnie.

– Ja mu musiałem cofnąć kredyt – szepnął bankier z bolesną miną i udawał szczerze zmartwionego, mlaskał ustami, gryzł cygareto, wzdychał, a obserwował Moryca, który na próżno usiłował wsadzić binokle i zapanować nad sobą.

Wiadomość ta zrobiła na nim piorunujące wrażenie, uspokoił się jednak szybko, pogładził brodę i sucho zawołał:

– Znajdziemy kredyt gdzie indziej.

– Ja wiem, że znajdziecie i dlatego mnie jest bardzo przykro, że z wami nie będę mógł robić interesów.

– Dlaczego? – zapytał prosto Moryc, bo twarz bankiera i jego słowa niedomówione zaniepokoiły go silnie.

– Nie mogę, tak mam kapitały zaangażowane, że nie mogę, a przy tym, ja się muszę liczyć ze wszystkim... Ja nie mogę się narażać... na straty... na przykrości... – tłumaczył się niejasno, urywał, kręcił, a chciał, aby Moryc pierwszy zapytał go otwarcie.

Ale Moryc milczał, przeczuwał, że w tym cofnięciu kredytu, musi być jakiś nacisk uboczny na Groszlicka, pytać się nie chciał, aby mu nie dać poznać, jak bardzo go to obchodzi.

Groszlick zaczął spacerować po gabinecie i mówił nieco przyciszonym, przyjacielskim głosem:

– Bo tak mówiąc pomiędzy nami, po przyjacielsku panie Maurycy, po co panu spółki z Borowieckim? Czy pan nie możesz sam otworzyć fabryki?

– Nie mam pieniędzy! – rzucił krótko i słuchał uważnie.

– To nie przyczyna, bo pieniądze mają ludzie, a pan masz wielkie zaufanie i wielkie zdolności. Dlaczego ja z panem robię interesy? Dlaczego na jedno słowo daję panu teraz trzydzieści tysięcy marek? bo ja pana znam dobrze i wiem, że na tej ufności zarobię z dziesięć procent.

– Siedem i pół! – poprawił Moryc skwapliwie.

– Mówię tylko dla przykładu. Każdy z panem zechce robić interes i pan możesz prędko stanąć na mur, więc po co panu ryzykować z Borowieckim? On jest mądry, bardzo mądry kolorysta, ale on nie jest macher. Po co on gada po Łodzi, że trzeba uszlachetnić i podnieść produkcję łódzką! To jest bardzo niemądre gadanie! Co to jest uszlachetnić produkcję? Co to jest – „czas skończyć z tandetą łódzką!” to jego własne słowa, bardzo głupie słowa – zawołał mocniej ze złością. Żeby on myślał jak taniej produkować, gdzie nowe rynki otworzyć dla zbytu, jak podnieść stopę procentową, to byłoby mądre, ale jemu się chce reformować przemysł łódzki! On go nie zreformuje, a może łatwo kark skręcić. Żeby to nie szkodziło nikomu, nikt by i słowa nie powiedział. Chcesz ryzykować – ryzykuj! Włazisz na dach – złam sobie ząb. Po co jemu fabryka! Knoll chciał mu dać dwadzieścia tysięcy, a to śliczny grosz, ja tyle może nie zarabiam. Nie chciał, jemu się chce fabryki, jemu się chce „uszlachetniać produkcję”, jemu się chce psuć interesy Szai, Zuckerowi, Knollowi, całej bawełnie łódzkiej. A wiesz pan dlaczego? Żeby Polacy mogli powiedzieć: Wy robicie tandetę, szachrujecie, wyzyskujecie robotników, a Borowiecki, a my prowadzimy interes porządnie, uczciwie, solidnie!

– Prezes daleko widzi! – szepnął Moryc ironicznie

– Pan się nie śmieje, ale ja bardzo daleko widzę. Jak Kurowski zakładał fabrykę przeczułem co z tego będzie i mówiłem Glancmanowi, załóż taką samą, załóż zaraz, bo on cię zje – nie słuchał mnie i dzisiaj co? Stracił wszystko i jest w kantorze Szai, bo Kurowski bierze tylko swoich i tak stanął, że z nim nie może być konkurencji, a za rok ile zechce brać, tyle będzie brał za swoje farby. Ale to nie o to idzie, idzie o to, że jak się jednemu Polakowi uda, to zaraz całą kupą przychodzą inni. Pan myślisz, że Trawiński nie robi konkurencji Blachmanowi i Kesslerowi, co? On im psuje interesy. Sam nie zarabia nic, dokłada co rok, ale psuje wszystkim, bo zniża cenę za towar i podnosi płacę majstrów i robotników! On się bawi w filantropię, za którą inni drogo płacą; wczoraj u Kesslerów całą przędzalnia stanęła. Dlaczego? Dlatego, że majstrowie i robotnicy powiedzieli, że robić dotąd

nie będą, dopóki im nie zapłacą tak, jak w fabryce Trawińskiego płacą! Ładne położenie dla fabryki, która jest tak skrupowana terminowymi obstalunkami, że na wszystko zgodzić się musiała! Jak Kessler będzie miał w tym roku o dziesięć procent mniej, to musi podziękować za to Trawińskiemu! Tfy, to jest już nie tylko świństwo, ale to jest sto razy głupie! A teraz powstaje Borowiecki i także obiecuje „uszlachetnić produkcję” ha, ha, ha! mnie się bardzo chce śmiać. Jak Borowieckiemu pójdzie, to za dwa lata założy znowu jaki Sosnowski interes do „uszlachetniania”, za cztery lata będzie ich ośmiu uszlachetniało i psuło ceny, a za dziesięć to cała Łódź będzie ich!

Moryc zaczął się śmiać z przerażenia bankiera.

– To nie jest śmiech, moje przypuszczenia to nie jest ten wiatr, ja ich znam dobrze, ja wiem, że z nimi nie wytrzymamy konkurencji, bo oni będą mieli za sobą cały kraj. Dlatego trzeba Borowieckiego zjeść, trzeba wszystkim zrozumieć to położenie i iść ręką w rękę, solidarnie!

– A Niemcy? – zapytał krótko Moryc, poprawiając binokli.

– Z tym się nie ma co liczyć, ich i tak prędzej czy później diabli stąd wezmą, ale my zostajemy! o nas tu idzie! Pan mnie rozumie, panie Moryc?

– Rozumiem, ale jeśli mój kapitał da mi więcej procentów u Borowieckiego, to ja idę z nim – szepnął cicho, gryząc laskę.

– To jest po kupiecku powiedziane, ale ja panu z góry ręczę, że ten kapitał nie da nic i że pan może stracić wszystko.

– Zobaczymy!

– Ja panu dobrze życzę, powiedziałem to, co myślę, co myśli nasza cała Łódź. Pan sam powiedz, po co im fabryki! Nie mogą oni siedzieć na wsi, trzymać wyścigowe konie, jeździć za granicę, polować, romansować z cudzymi żonami, robić politykę i wielki szyk po świecie! Im się zachciało fabryk i „uszlachetniania produkcji”, im się zdaje, że to angielski koń, co jemu można dać prostą chamską kobyłę za żonę, a ona zaraz urodzi samego lorda! – wołał z politowaniem i zgrozą.

– Żeby oni mogli siedzieć na wsi i bawić się, toby z pewnością nie było w Łodzi ani jednego Polaka.

– Niech przychodzą! jest tyle miejsc... stróżów, woźnych, sztangretów<sup>22</sup>, oni takie rzeczy dobrze robią, oni są do tego specjaliści, ale po co im się brać do nieswoich rzeczy, dlaczego oni nam mają psuć interesy?

– Do widzenia, dziękuję prezesowi za zwrócenie uwagi.

– Ja myślę, panie Maurycy, bo te wszystkie nasze, to bidło, parchy, oni tylko patrzą, żeby dzisiaj zrobić geszeft, a w sobotę zjeść dobrą kolację i wyspać się pod pierzyną! Co pan zrobisz?

– Zobaczę. Więc Borowiecki nie ma ani grosza kredytu u pana?

– Ja nie mogłem stracić wszystkich naszych fabrykantów dla niego!

– Zmowa! – szepnął bezwiednie Moryc.

– Jaka zmowa? co pan gadasz, to tylko obrona! Żeby to był kto inny, nie Borowiecki, toby się jego przydeptało nieznacznie i zdechłby prędko, ale pan wiesz, jak on podparł Bucholca, pan wiesz, co to jest za kolorysta! no i to pan wiesz, że w niego wierzą, że on ma stosunki, że on jest znany na rynkach.

– To wszystko prawda, ale jemu może pójść! – zakończył Moryc i wyszedł.

W kantorze poszedł za przepierzenie do Stacha.

– Panie Wilczek, stary Grünspan chce z panem pomówić choćby zaraz.

– Mógłbym panu powiedzieć, o czym chce mówić ze mną. Może mu pan powiedzieć, że mnie się nie spieszy ze sprzedaniem placu, bo zakładam gospodarstwo.

– Jak pan chce! – rzucił mu Moryc wychodząc.

– Zmowa! – myślał, idąc Piotrkowską.

<sup>22</sup> sztangret – dziś popr.: stangret. [przypis edytorski]

Był tak zamyślony, że nie spostrzegł Zygmunta Grünspana, który kiwał na niego z powozu i przyzywał do siebie.

– Moryc, czy ty już nie poznajesz znajomych! – zawołał Zygmunt przystępując do niego.

– Jak się masz i do widzenia, bo czasu nie mam.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś przyszedł w niedzielę, bo Mela przyjeżdża.

– Czy ona jeszcze siedzi we Florencji?

– Z Różą, to dwie wariatki. Rozie się nie chciało pisać do Szai, to ona cały list telegrafowała, cały list, ze dwieście wierszy.

– Muszą się tam dobrze bawić?

– Róża się nudzi, a w Meli zakochał się jakiś włoski książę i ma za nią przyjechać do Łodzi.

– Po co?

– Chce się z nią zenić. Tak pisała Róża.

– Głupstwo.

– Autentyczny książę! – wykrzyknął Zygmunt, rozpinając mundur.

– Taką firmę możesz sobie kupić w każdym hotelu włoskim.

Rozstali się, Morycowi spieszyło się bardzo.

Szedł do fabryki, jak to robił codziennie, bo lubił patrzeć jak mu w oczach wzrastały mury, ale dzisiaj szedł wolno, słowa Groszlicka obciążały go, rozmyślał nad nimi, pomimo że horoskopy bankiera wydały mu się przesadzonymi, niemożliwymi prawie do urzeczywistnienia.

Spoglądał na miasto, na długie sznury domów, na setki kominów, co niby pnie sosen czerwieniły się w rozstłonecznionym upalnym powietrzu i wielkimi słupami dymów biły w górę, wsłuchiwał się w gwar miasta, w przygłuszony a nieustanny szum fabryk pracujących w turkot ciężkich platform pełnych towarów, krzyżujących się we wszystkich kierunkach.

Rzucał badawcze spojrzenia na szyldy sklepów niezliczonych, na tablice domów, na tysiące nazwisk powypisywanych na balkonach, ścianach i oknach domów.

Motel Lipa, Chaskiel Cokolwiek, Ita Aronsohn, Józef Reinberg itd. itd., same nazwiska żydowskie, poprzetykane gdzieniegdzie nazwiskami niemieckimi.

– Sami nasi! – szepnął jakby z pewną ulgą i lekceważący uśmiech przewijał mu się po ustach i bił z oczów, gdy spostrzegł polskie nazwisko na szyldziku jakiego szewca lub ślusarza.

– Groszlick ma bzika! – myślał, ogarniając spojrzeniem to morze domów, sklepów i fabryk żydowskich. On ma ładny kawałek choroby – dodał wesoło prawie i już nie myślał o jego obawach spolszczenia Łodzi, bo czuł w tej chwili patrząc na żydowską potęgę miasta, że jej nic i nikt złamać nie potrafi. A szczególnie Polacy! – myślał, oddając ukłon Kozłowskiemu, który w jasnych jedwabiach, w żółtych lakierkach i z gałką laski przy lśniącym cylindrze, który spychał na tył głowy, spacerował po drugiej stronie ulicy i zaglądał w oczy przechodzącym kobietom.

Nie, już nie myślał o obawach bankiera, ale ta zmowa na Borowieckiego skłopotowała go mocno.

Był zaangażowany w tym interesie, tylko z tej strony go obchodziła ich fabryka, bo czy Karol straci, nic go to nie obchodziło, ale sam nie lubił nawet ryzykować, a teraz czuł, że jeśli się zmówili na niego, to go ogryzą do ostatniej kosteczki.

– To jest kein geszeft<sup>23</sup>! – myślał i teraz dopiero zobaczył jasno przyczyny najrozmaitszych przeszkód, jakie ich spotykały.

Zrozumiał, dlaczego przedsiębiorca, który miał im prowadzić roboty mularskie – cofnął się. Oni mu zabronili robić!

Kwestionowano im plany i zwlekano z ich zatwierdzeniem. Ich robota.

Komisja budowlana przerywała im robotę i zmusiła do zgrubienia ścian. Ich denuncjacje!

Niemieckie nadreńskie firmy odmówiły im kredytu na maszyny. To również oni zrobili!

---

<sup>23</sup> kein geszeft (z niem.) – żaden interes. [przypis edytorski]

A te wieści fałszywe, złe, głupie, jakie krążyły o Borowieckim po Łodzi, a które źle musiały oddziaływać na ich przyszły kredyt. Któż je rozpuszczał? Ludzie Groszlicka, Szai i Zukera.

– To jest sto razy kein geszeft. Oni go zjedzą! – myślał coraz posepniej, ale wchodząc w ulicę, na której była ich fabryka, zaczynał już pracować nad sposobami wycofania się z tego interesu.

Szukał przyzwoitych pozorów, bo zrywać zupełnie z Borowieckim nie chciał.

### III

Budynki po fabryce Meisnera, które Borowiecki kupił i przerabiał dla swojej fabryki, stały z boku Konstancyńskiej, na jednej z małych uliczek: była to dzielnica małych fabryczek i samodzielnych warsztatów, teraz już obumarła – zabita przez wielki przemysł.

Uliczki były krzywe, obstawione parterowymi domami o wielkich facjatach, niebrukowane, nędzne i brudne.

Domy powykrzywiały się ze starości i powoli zapadały w grząską ziemię, jakby przygniatane wielkością gmachów fabryki Müllera i olbrzymimi kominami innych fabryk, które gęstym, kamiennym lasem chwiały się dookoła.

Resztki trotuarów ciągnęły się obok obszarpanych domów, zagłębiały w niektórych głębiej zapadniętych do okien i tworzyły szereg dołów i wybojów, zasypanych śmieciami.

Na środku ulicy leżały miejscami wielkie kałuże nigdy nie wysychającego błota, nad którymi snuły się gromady dzieci, podobnych przez wynędznienie i brud do wielkich stonóg, wyległych w tych ruderach; gdzie zaś nie było błota, tam leżała gruba warstwa węglowego miału, który rozbijany kołami wozów, podnosił się i czarnym tumanem wisiał nad uliczkami, oblepiał domostwa i żarł nędzną zieloność drzew anemicznych, pokrzywionych, których poskręcane i narosłe guzami gałęzie wychylały zza parkanów lub ciągnęły się przed domkami szeregiem połamanych szkieletów.

Monotonny, suchy stukot warsztatów tkackich, trzęsących się szarymi szkieletami za przepalonymi szybami okien, przepełniał powietrze i łączył się z potężnym szumem fabryki Müllera.

Moryc Welt przeszedł szybko umierającą dzielnicę, bo go przejmowała wstrętem nędza rozpadających się domów i denerwował go ten suchotniczy stukot warsztatów i to życie tętniące tak słabo, jakby ostatkami sił.

Lubił gwar potężnych maszyn; huk potwornych organizmów fabrycznych przenikał go słodkim uczuciem siły i zdrowia, a sam widok wielkich fabryk usposabiał wesoło.

Uśmiechnął się bezwiednie do gmachów Müllera huczących robotą, spojrział życzliwie na przedziałnię Trawińskiego, stojącą obok i długo ślizgał się oczami po czerwonych, cichych pawilonach fabryki starego Bauma, stojącej naprzeciwko, której okna zasłane kurzem i pajęczyną patrzyły tak martwo, jak umierające oczy.

Za Trawińskim, przedzielony tylko kilkoma pustymi placami, budował Borowiecki, a raczej przebudowywał starą meisnerowską fabrykę, którą kupił za bezcen, bo kilkanaście lat stała bezczynną.

Cały front obstawiony był rusztowaniami, bo nadbudowywano piętro, rusztowania zakreślały również wielki czworobok dziedzińca, a spoza nich czerwieniły się wznoszone pawilony i migotały sylwetki robotników.

– Dzień dobry, panie Dawidzie – zawołał Moryc, spostrzegłszy Halperna, który z parasolem pod pachą, z zadartą do góry głową, stał na środku podwórza i przypatrywał się robocie.

– Dzień dobry! Ładny kawałek fabryki nam przybędzie! A jak się to prędko robi, to aż przyjemność patrzeć. Ja jestem chory, mnie doktor powiedział: Panie Halpern, pan się lecz, pan nic nie rób. To ja się leczę, ja nic nie robię, tylko sobie chodzę po Łodzi i patrzę jak ona mi rośnie, to jest najlepsze lekarstwo na moją chorobę.

– Jest Borowiecki?

– W przedziałni widziałem go przed chwilą.

Moryc wszedł do niskiego budynku o powyginanych w długie przyzmy dachach oszklonych, przeznaczonego na przedziałnię.

Bardzo widne sale były literalnie zapchane częściami maszyn, cegłą do podmurówki fundamentów, zwojami papy do krycia dachów, ludźmi i hałasem montowanych maszyn, których długie szkielety, podobne do szkieletów przedpotopowych jaszczurów, ciągnęły się w poprzek sal,

pokryte kurzem, zapach świeżego wapna i ostry gryzący zapach asfaltu gotowego i wylewanego w jednej z sal przesycił powietrze.

– Moryc, przyślij mi Jaskólskiego! – krzyknął Maks Baum.

W niebieskiej bluzie, z fajką w zębach, zasmolony, stał wśród robotników, ustawiających maszyny i robił razem z nimi.

Jaskólski, którego od początku budowy przyjął Borowiecki od rozmaitych zajęć, nadbiegł z pośpiechem.

– Hej, szlachcic, przysłać czterech tęgich ludzi do windy, a prędko! – krzyknął Baum i dalej składał z monterami maszynę, która miała być podniesiona przez windę i ustawiona na podmurowaniu i gdy mu coś Moryc krzyczał ze środka sali, nie mogąc się bliżej dostać, odkrzyknął mu krótko:

– Nie zawracaj mi głowy, powiesz w niedzielę. Karol jest w podwórzu.

Karol był w podwórzu, przy olbrzymich dołach w które zsypywano wapno zwożone i lasowano zaraz; tumany białego wapiennego kurzu przysłaniały białe sylwetki robotników i kontury wozów i ludzi.

Borowiecki był prawie biały od pyłu, zjawił się na chwilę, przywitał z Morycem i szepnął mu do ucha:

– Wiesz, nie przysłali farbiarek, wykręcają się brakiem gotowych.

– Nie chcę dać na kredyt, cóż teraz zrobimy?

– Pisałem już do Anglii, będzie trochę później, trochę drożej, ale będzie! Psiakrew te Szwaby! – zaklął ze złością.

Moryc Welt nic się nie odezwał, przyglądał mu się uważnie, patrzył również uważnie na całą fabrykę, na robotników, na część maszyn stojących pod grubymi oponami na dziedzińcu, pokręcił się po wszystkich kątach, zjrzał raz jeszcze do Maksa, do składu cementu, gdzie Jaskólski rezydował, przypatrywał się wszystkiemu ze zdwojoną uwagą i coraz mniej mu się podobało.

– To ciasto, a nie wapno! – powiedział przypatrując się murowaniu.

– Niech sobie inni murują na piasek, ja nie chcę, żeby mi się na łeb wszystko zważyło – odpowiedział Borowiecki.

– Wczoraj obliczałem, że te sklepienia Moniera będą nas kosztowały o dwa tysiące rubli więcej niż zwyczajne.

– Ale warte są co do wytrzymałości o cztery tysiące więcej. W razie wypadku ogień ich nie przepali.

– Dlatego tylko je zaprowadzasz? – zapytał Moryc cicho, wsadzając binokle.

– I dlatego, że jeśli się spali, to przynajmniej jedno piętro, a nie wszystko.

– Pi... czasem to nie jest takie... straszne.

Karol mu nic nie odpowiedział, bo odszedł spieszenie, a Moryc pochodził jeszcze po fabryce i z irytacją spostrzegał wszędzie, że buduje się porządnie, że buduje się bardzo drogo.

Przeglądał w kantorze listę płac robotników i zwrócił uwagę prowadzącemu roboty na niesłychaną, według niego, wysokość płac, przyczepiał się do wielu rzeczy i wszystko znajdował za dobrym i za drogim.

– Wiem, co robię – odpowiedział mu Karol na uwagi.

– To będzie pałac, nie fabryka, dla nas zresztą taki komfort za drogi!

– To nie jest komfort, to jest trwałość, która taniej kosztuje niż tandeta. Zobacz u Blohmanów, postawili tanio i corocznie muszą poprawiać, bo chce im się wszystko zważyć; nie cierpię żydowszczyzny w niczym, wiesz o tym dobrze.

– Zobaczymy, co to da to *polnische Wirtschaft*<sup>24</sup> – szepnął Moryc z ironią.

– Przekonasz się, a tymczasem bądź zdrow Moryc, nie wyspałeś się i nudzisz.

---

<sup>24</sup> *polnische Wirtschaft* (niem.) – polskie gospodarstwo; polska gospodarka. [przypis edytorski]

– Trzeba się zabezpieczyć! – pomyślał Welt, wychodząc z fabryki.

Karol poszedł na rusztowania oglądać robotę, biegał na boczny plac, gdzie składano cegłę, uwijał się wśród kup ziemi, pomiędzy dołami z wapnem, pomiędzy stertami cegły, drzewa budulcowego, wśród dziesiątek wozów, wjeżdżających i wyjeżdżających; wydawał polecenia Jaskólskiemu, który zadyszany, z wiecznie przestraszoną twarzą, biegał je wypełniać, zajrzał kilka razy do Maksa i krążył ustawicznie po obrębie fabryki, która podbudzona jego energią niestrudzoną, jego obecnością ciągłą, rosła nadzwyczaj szybko.

Nie zważał na kurz, na słońce, które zalewało wszystkich coraz mocniejszym żarem, na zmęczenie nawet, tylko od świtu razem z robotnikami był już na robocie i razem z nimi schodził o zmroku.

Podbudzał go jeszcze do tej pracy Maks, który z wielką przyjemnością pracował przy ustawianiu maszyn z robotnikami i razem z nimi szedł wieczorem do knajpy, wypijał niezliczone ilości piwa, sypiał tylko parę godzin i rzucił w kął wszystkie swoje leniwe przyzwyczajenia.

Od przyjazdu ze wsi stosunki pomiędzy nimi ochłodziły nieco z powodu fabryki, która ich absorbowwała zupełnie i z powodu tego odezwania się Borowieckiego, gdy wyjeżdżali z Kurowa.

Maks nie mógł tego zapomnieć, tym bardziej, że o Ance myślał coraz częściej i że coraz więcej irytował go Borowiecki ciągłymi wizytami u Müllerów.

Widział w tym podwójną grę, która jego prostą naturę oburzała do głębi.

Oddalali się od siebie coraz bardziej, mocą coraz silniej ujawniających się wewnętrznych przeciwieństw, cech rasowych i intelektualnych; Karol myślał chwilami o tym i uśmiechał się z rezygnacją trochę sztuczną: Maks zaś odczuwał głęboko, zwał na niego i oburzał się bardzo szczerze.

Dwunasta już dochodziła, gdy Borowiecki opuścił fabrykę i poszedł przez długi ogród, ciągnący się z tyłu do drugiej ulicy, gdzie stał wielki parterowy dom, również przebudowywany do gruntu z wielkim pośpiechem, bo za kilka tygodni miała się sprowadzić Anka z panem Adamem.

Mieszkał tymczasowo na facjatce, w jednym pokoju, żeby być bliżej fabryki, przebrał się już, gdy fabryki zaczęły gwizdać na południe.

Przeczytał raz jeszcze list Lucy, która naznaczała mu spotkanie w parku Helenowskim, przy grocie, na czwartą godzinę po południu.

– Mam już tego dosyć – myślał, drąc list na strzępy.

I rzeczywiście miał już tego dosyć; już mu się sprzykrzyły i te schadzki tajemnicze, codziennie gdzie indziej, i wybuchy zazdrości, i nawet jej wielka miłość nudziła go, bo była mu zupełnie obojętną i zabierała wiele czasu tak potrzebnego dla fabryki.

Nieraz, wśród pozornego rozszalenia w jej ramionach, wśród pocałunków i uścisków namiętnych, w takich momentach, w których widział, że nie tylko go ubóstwia, nie tylko kocha, ale że wprost przepada w tej miłości, szukał sposobów zerwania i to go irytowało coraz silniej, że ona nie nastęrczała mu powodów.

Stołował się u Baumów, ponieważ było blisko od fabryki, ale nie poszedł teraz przez ogród i swoje place, tylko wyszedł na ulicę, na której stał pałac Müllerów, a przechodząc obok domku, w którym mieszkali, zwolnił kroku i włókł oczami po oknach.

Nie zawiódł się, bo jasna twarz Mady błysnęła w jednym oknie, potem wychyliła się w drugim i ona sama ukazała się w ganku, jaki tworzyło czworokątne wgłębienie domu.

– Pan już na obiad? – zawołała wesoło, podnosząc na niego swoje porcelanowe niebieskie oczy.

– Już. A pani jeszcze nie po obiedzie?

Wyciągnął do niej rękę.

– Jeszcze. Zaraz panu podam rękę, muszę ją wytrzeć, bo gotowałam obiad sama – wołała ze śmiechem, wycierając ręce o długi niebieski fartuch.

– W saloniku jest teraz kuchnia? – zauważył złośliwie.

– Bo, bo... ja sprzątałam! – powiedziała cicho, oblewając się krwawym rumieńcem obawy, że mógł zauważyć jej oczekiwanie na niego przy oknie.

– Gdzie się pan tak poczerzył? – zawołała głośno, aby odzyskać równowagę.

– Ja, poczerzony? gdzie?

– Pod oczami, o tu! Ja wytrę, dobrze – prosiła nieśmiało.

– Czekam.

Pośliniła róg chusteczki i bardzo starannie wytarła poczerzenie.

– Jeszcze tutaj muszę być poczerzony! – wołał, nieco rozbawiony sceną, wskazując na skroń,

– Nie, słowo daję, że nie!

Obejrzała mu starannie twarz.

Pocałował ją w rękę, chciał to samo zrobić z drugą, ale cofnęła się gwałtownie w tył, przysłoniła złotymi rzęsami pociemniałe ze wzruszenia oczy i stała chwilę, bezradnie szarpiąc palcami fartuch.

Karol uśmiechnął się z jej pomieszania.

– Pan się ze mnie śmieje – szepnęła z przykrością.

– Dobrze, to i ja pójdę.

– Niech pan wieczorem przyjdzie z panem Maksem, to panom upiekę ciastek z jabłkami.

– Maks sam przyjść nie może? – pytał podstępnie.

– Nie, nie, to wolę, żeby pan sam przyszedł – zawołała prędko i czując, że ją oblewa rumieniec, uciekła w głąb domu.

Karol z uśmiechem popatrzył za nią i poszedł na obiad.

U Baumów od zimy zmieniło się wiele.

Było jeszcze smutniej i posepniej.

Wielkie pawilony fabryczne stały w dziwnej ciszy obumierania, bo zaledwie czwarta część ludzi pracowała.

Po pustym dziedzińcu zarastającym trawą łaziły kury i stare psy, których nikt już na dzień nie wiązał i monotony, słaby stukot warsztatów łał się sennym szmerem od zasnutych pajęczyną i kurzem okien, poza którymi nie trzęsły się warsztaty, nie migotały sylwetki robotników, nie wrzał ruch, a leżała jakaś grobowa cisza i obumieranie.

Nawet ogród, otaczający dom, miał wygląd pustki; wiele drzew poschniętych wyciągało nagie konary ku niebu, a reszta stała zaniedbana, wśród bujnych chwastów, jakie pokryły nieuprawione i nieobsiane zagoniki.

Dom mieszkalny również robił smutne wrażenie, bo z jednej strony podpadały tynki, schody prowadzące na werendę<sup>25</sup> pokrzywiły się i weszły w ziemię, a wino pnące się po werendzie uschło nie wiadomo dlaczego zaraz po ozielenieniu<sup>26</sup> i wisało niby żółte, zabrudzone łachmany.

Kwatery kwiatowe przed oknami zarastały bujną trawą i chwastami, z których tylko gdzieniegdzie patrzyły białe oczy narcyzów i żółciły się ostromlecze.

Żwirowane uliczki zarastały trawą i pokrywały się kretowiskami i śmieciem, jakie wiatr nanosił. W domu było również niewesoło; pokoje stały w ciszy, pełne stęchlizny i opuszczenia.

Kantor był prawie pusty, bo Baum podprawiał pracujących, zostawiając tylko Józia Jaskólskiego i kilka kobiet w podręcznym składzie towarów.

Fabryka pachniała bankructwem, a cały dom przesiąknięty był zapachem lekarstw, bo Baumowa chorowała od kilku miesięcy.

Berta z dziećmi odjechała do męża, pozostała tylko frau<sup>27</sup> Augusta ze swoimi kotami chodzącymi za nią i z wieczną fluksją w twarzy obwiązanej i stary Baum, który całe dnie przesiadywał

---

<sup>25</sup> werenda – dziś popr.: weranda. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> ozielenienie – dziś popr.: zazielenienie. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> frau (niem. *die Frau*) – pani. [przypis edytorski]

samotnie w swoim kantorku na pierwszym piętrze fabryki, i Józio jeszcze bardziej onieśmielony niż dawniej.

Borowiecki poszedł prosto do pokoju, w którym leżała Baumowa, aby z nią zamienić słów kilka.

Siedziała na łóżku otoczona stosem poduszek, bezmyślnie wpatrzona martwymi, wypłowiałymi oczami w okno, za którym chwiały się drzewa.

Pończochę trzymała w rękę, chociaż jej nie robiła i uśmiechała się jakimś smutnym, rozdzierającym uśmiechem.

– Dzień dobry – odpowiedziała cicho na przywitanie. – Maks przyszedł? – dodała.

– Jeszcze nie, ale przyjdzie zaraz.

Zaczął się wypytywać o zdrowie, jak spała tej nocy, jak się czuje itd., bo jej stan przejmował go jakąś dziwną czułością i rozrzewnieniem.

– Dobrze, dobrze! – odpowiadała po niemiecku i jakby się budząc z długiego uśpienia wlokła oczami po pokoju patrzyła długo na fotografie wnuków i dzieci, wiszące na ścianach, goniła wyrokiem wahadło zegara, potem próbowała robić pończochę, która się wysunęła zaraz z jej rąk wychudłych i bezwładnych.

– Dobrze, dobrze! – powtórzyła bezmyślnie i znowu zapatrzyła się w długie liście akacji, chwiejące się za oknem.

Nie zwróciła nawet uwagi na frau Augustę, która kilkakrotnie przechodziła przez pokój, poprawiała poduszki i szła dalej, ani na męża, który stanął przy łóżku i długo patrzył przekrwionymi oczami na jej twarz wychudłą, szarozółtą.

– Maks! – szepnęła i jej trupia twarz ożywiła się na chwilę na odgłos zbliżających się kroków syna.

Maks wszedł i pocałował ją w rękę.

Przycisnęła mu głowę do piersi i pogłaskała, ale gdy poszedł na obiad, patrzyła znowu w okno. Obiady bywały krótkie i milczące, bo wszystkim ciężyła ta atmosfera smutku.

Stary Baum zmienił się nie do poznania, wychudł jeszcze bardziej i zgarbił się, twarz mu szerniała i pocięła się w długie fałdy koło nosa i ust, które wyglądały jakby wycięte w drzewie.

Usiłował rozmawiać, zaczynał pytać, jak im idą roboty przy fabryce, ale zwykle nie kończył, urywał i wpadał w stan zamyślenia, przestawał jeść i patrzył przez okno, na mury Müllera, albo się ślizgał oczami po szklanych, błyszczących w słońcu dachach przedzalni Trawińskiego.

I zaraz po obiedzie wychodził do fabryki i obchodził puste sale, przypatrywał się nieczynnym warsztatom, a potem zamknięty w kantorze, patrzył na miasto na tysiące domów, fabryk, kominów i nasłuchiwał z goryczą niedopowiedzianą ech potężnie wrzącego życia.

Nie był już teraz nigdzie, zamknął się w obrębie fabryki i razem z nią umierał.

Bo fabryka była na skonaniu, jak określał Maks.

Pomimo największych wysiłków nic jej nie mogło uratować.

Musiała paść w walce z parowymi olbrzymami, ale Baum jeszcze tego nie widział, a raczej widzieć nie chciał i walczył dalej i postanowił walczyć do końca.

Nie pomogły perswazje Maksa, ani zięciów, ani tej reszty znajomych starych, którzy mu radzili przerobić fabrykę ręczną na parową, a nawet, jak niektórzy, chcieli mu pomóc kredytem lub gotówką.

Nie chciał słuchać o tym.

Prawie nic nie sprzedawał, bo sezon wiosenny był straszny dla całej Łodzi, odprawiał robotników, ograniczał produkcję, ograniczał własne potrzeby, a w uporze trwał nieugięcie.

Robiła się też dookoła niego pustka głucha, a po Łodzi mówiono głośno, że stary Baum ma bzika i drwiono z niego i zapominano z wolna.

Borowiecki zaraz po obiedzie wyszedł i po wrażeniach tego grobowo nastrojonego domu odetchnął dopiero na Piotrkowskiej.

Do spotkania z Lucy miał czas jeszcze, więc wstąpił do Wysockiego.

Wysocki był bardzo zajęty, bo w poczekalni siedziało kilku chorych; przywitał się z roztargnieniem.

– Przepraszam pana na chwilę, skończę z pacjentem i pójdziemy razem do mamy. Borowiecki usiadł pod oknem i rozglądał się po małym gabinecie, zapchanym sprzętami i przepełnionym zapachem karbolu i jodoformu.

– Pójdźmy! – zawołał wreszcie Wysocki, wyprawivszy starego Żyda, któremu długo tłumaczył, co ma robić.

– Panie doktorze, panie doktorze! – zawołał błagalnie Żyd, wracając od drzwi.

– Słucham, czego pan jeszcze chcesz?

– Panie doktorze, czy ja się mam bać? – pytał cichym, roztrzęsionym głosem i głowa trzęsła mu się ze wzruszenia.

– Powiedziałem panu, że nie ma nic groźnego, potrzeba tylko wszystko robić, co poleciłem.

– Dziękuję bardzo, wszystko będę robić, ja chcę być zdrowy, bo ja mam interes i żonę mam, i dzieci mam, i wnuki mam. Ale ja się boję i dlatego bardzo proszę, pana doktora, czy ja się mam bać?

– Powiedziałem już raz panu.

– Ja pamiętam, ale mnie się coś przypomniało. Ja mam córkę, ona też chorowała, ja nie wiem co jej było, nie wiedzieli tego i doktorzy w Łodzi. Ona była bardzo delikatna, bardzo blada jak te ściane, co to ściane, jak czyste wapno: ją bolało w kościach i w skórze i w rękach też. Zawiozłem ją do Warszawy. Doktór powiada: Ciehocinek! Dobrze, co będzie kosztować ten Ciehocinek? „Dwieście rubli”. Skąd ja mogę wziąć tyli majątek! Poszedłem do drugiego doktora. On powiedział, że jej trzeba robić takie wygniatanie. Kazał mi wyjść z pokoju. Wyszedłem i trochę sobie słucham, a moja Rojze krzyczy. Nu, ja ojciec jestem, to mnie to przstraszyło, to ja grzecznie mówię przez drzwi: „Panie konsyliarzu, tak nie można!” On mi powiedział, że jestem głupi! Sza, dobrze! Ale jak una znowu zaczęła wykrzykiwać na cały głos, to ja się trochę rozgniewałem i powiadam głośno: „Panie doktorze, tak nie można, ja zawołam policji, to jest porządna dziewczyna!” To un mnie kazał bardzo grzecznie wyjść za drzwi, co ja przeszkadzam tej gniecionej medycynie. Zaczekałem na schodach, a jak Rojze wyszła, to była czerwona jak barchan i mówiła, co ma wielką przyjemność w kościach. Przez miesiąc to una była zdrowa jak gęś, jej tak dobrze robiła ta gnieciona medycyna, jak się to nazywa, ja nie wiem.

– Masaż, kończ pan prędzej, bo nie mam czasu.

– Panie doktorze, może i mnie potrzeba takiej gniecionej medycyny! Ja zapłacę, ja panu doktorowi zaraz dam rubla, niech pan powie. Do widzenia, ja przepraszam, już idę, już mnie nie ma – wołał, spieszenie wychodząc, bo Wysocki szedł ku niemu tak groźnie, jakby go miał zamiar wyrzucić za drzwi.

Ale zaraz wsunęła się otyła Żydówka i już od drzwi jęczała przeciągle:

– Panie konsyliarzu, ja mam zatkanie, ja mam wielkie zatkanie w piersiach.

– Zaraz! Może pan przejdzie do mamy, do saloniku, jak tylko załatwię się z chorymi, przyjdę.

– Ależ to ciekawa kolekcja.

– Bardzo ciekawa, ten co wyszedł, mordował mnie przez godzinę, a w końcu, korzystając z pańskiego wejścia, zapomniał mi zapłacić.

– No, to niewesołe, ale przypuszczam, że takie wypadki zapomnień bywają nieczęste.

– Żydzi zawsze są gotowi zapomnieć, trzeba im przypominać, co nie jest przyjemnym – mówił dosyć smutnie Wysocki, przeprowadzając go do matki.

Wysocką znał Borowiecki od czasu przyjazdu ze wsi, bo miał do niej list od Anki i przychodził kilka razy w interesie narzeczonej.

Zastał ją teraz siedzącą w fotelu pod oknem, w jaskrawej smudze światła, jakie spływało do zaciemnionego pokoju, bo pozostałe okna były przysłonięte roletami i portierami.

– Bardzo czekałam, bardzo – powiedziała wyciągając do niego długą, wykwintną rękę o cienkich stożkowych palcach.

– Spóźniłem się i pani mi daruje to opóźnienie, bo istotnie wczoraj przyjść nie mogłem. Przywieźli maszyny i musiałem być przy ich wypakowywaniu całe popołudnie.

– No, trudno, ale pan mi daruje prośbę o odwiedziny i zabieranie sobie czasu.

– Jestem na pani rozkazy.

Usiadł przy niej na niskim taborecie, ale cofnął się w cień, bo słońce zalewało żarem ten pas świetlisty i jej wysmukłą postać i kładło rudawe tony na jej czarne włosy i twarz w oliwkowym odcieniu, jeszcze bardzo piękną, i skrzyło się złotym pyłem w jej wielkich orzechowych oczach.

– Pani się nie obawia słońca – zauważył mimo woli.

– Kocham słońce i lubię się w nim pławić. Czy u Miecia dużo chorych?

– Widziałem kilka osób oczekujących w przedpokoju.

– Żydzi i robotnicy?

– Zdaje mi się.

– Niestety, on innych pacjentów nie ma i co gorsza, że mieć nie chce.

– Przekłada widocznie ilość nad jakość. Pracy więcej, ale rezultat materialny podobny.

– Nie o to mi idzie, zupełnie mi nie chodzi, czy Miecio zarabia wiele, bo w rezultacie, czy jest tak lub owak – żyjemy z resztek osobistego majątku. Idzie mi tylko o to, żeby się tak wiele nie zajmował, może nieszczęśliwym, ale straszliwie brudnym tłumem tych Żydów i rozmaitych nędzarzy, jacy się cisną do niego. Juści, że powinno się coś robić dla ulżenia cierpień i niedoli nieszczęśliwych, ale czemuż tego nie robią inni doktorzy, z odpowiedniej sfery, z mniejszą wrażliwością, przyzwyczajeni od dzieciństwa do tych łachmanów i brudów.

Wstrząsnęła się nerwowo i po jej pięknej twarzy przeleciał błysk wstrętu i obrzydzenia; podniosła koronkową chusteczkę do nosa, jakby w obronie przed jakim wstrętnym zapachem, który się jej przypomniał.

– Na to nie ma rady, tym bardziej, że pan Mieczysław kocha swoich pacjentów, to jego utopia – odpowiedział z lekką ironią.

– Na utopię zgoda. Przypuszczam nawet, że każdy wyższy umysł powinien mieć jakąś utopię, jakąś piękną chimere, która by mu czyniła znośniejszym to dzisiejsze obrzydliwe życie – rozumiem nawet, że dla takiej chimery można poświęcić życie, ale nie rozumiem, jak można kochać chimere chodzącą w łachmanach i brudzie!

Zamilkła na chwilę, rozsunęła seledynowy ekran jedwabny, malowany w złote ptaki i krzewy, bo słońce odbite od cynkowych dachów, rzucać poczynało zbyt jaskrawe i ostre promienie.

Siedziała jeszcze chwilę w milczeniu i pochylając głowę ku niemu, cała teraz w dziwnych refleksach zielonawego złota, jakie się przesączało przez ekran, zapytała cicho.

– Zna pan Melanię Grünspan?

Nazwisko wymówiła z subtelnym obrzydzeniem.

– Znam, ale tylko z widzenia, z towarzystw, a osobiście bardzo niewiele.

– Szkoda! – szepnęła, wstając.

Przeszła kilka razy z majestatyczną powagą pokój.

Posłuchała chwilę u drzwi gabinetu synowskiego, skąd dochodził przytłumiony gwar rozmowy.

Patrzyła chwilę na ulicę huczącą olbrzymim ruchem i zalaną upalną pożogą.

Karol z ciekawością śledził jej królewskie ruchy i choć w mroku, jaki zalegał pokój, nie mógł dobrze dojrzeć wyrazu jej twarzy, czuł, że jest wzruszoną.

– Pan wie, że ta panna Mela kocha się w Mieciu? – zapytała prosto.

– Pogłoski podobne słyszałem na mieście, ale nie zwracałem na to uwagi.

– To już o tym mówią! Ależ to kompromitujące! – dodała silniej.

– Przepraszam, wyjaśnię. Mówią na mieście, że kochają się oboje. Przewidują małżeństwo.

– Nigdy! Daję panu słowo, że dopóki ja żyję, to się nie stanie! – zawołała przyciszonym, namiętym głosem. – Mój syn miałby się ożenić z Grünspanówną!

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.